№ 35. Warszawa, dnia 21 Sierpnia (2 Września) 1885 r. Rok XX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGAWĘDKA.

Jednym z bardzo charakterystycznych objawów jakiegoś moralnego rozstroju, jakiejś wewnętrznej prostracyi w ostatnich czasach są zatrważająco liczne samobójstwa.

Codziennie prawie słychać w Warszawie lub na prowincyi o wypadkach gwałtownej śmierci, którą sobie zadali ludzie widocznie zrozpaczeni, po utracie ostatniej nadziei w życiu, albo wiary w jakąkolwiek jego pożyteczność. Różnego wieku, stanu i intelligencyi samobójcy zapełniają smutną kronikę dnia i wykreślają się sami z listy żyjących.

Od najdawniejszych wieków, odkąd umysł ludzki rozumować, a serce głębiej odczuwać zaczęło, odzywały się pojedyncze głosy zwątpienia i pogardy życia; całe systemata filozoficzne budowano na tej zasadzie: „lepiej było się nie rodzić", lub na Hamletowem pytaniu: „być albo nie być?"

W poezyi wszystkich wieków rozbrzmiewa ciszej lub głośniej skarga na męczarnie życia i tęsknota do śmierci, jako wybawicielki z niego; wszyscy ci jednak, co dochodzili do przekonania, że marnością nad marnościami jest ta ziemska, doczesna exystencya, mieli za sobą długie lata zawodów, cierpień, walki z samymi sobą i ze światem. Dziś tymczasem dziwnie szybko dochodzi się do tego pessymistycznego zniechęcenia; straszne jakieś *nic* wypełnia odrazu całą duszę ludzką, która traci równowagę odrazu, nie znajdując ani w sobie, ani zewnątrz siebie żadnego trwalszego oparcia.

Człowiek gasi to życie, jakgdyby gasił świecę, chcąc oczy zmrużyć do snu, pogrążyć się w ciemności, zasnąć, a zasnąwszy, nawet śnić nie pragnie.

Nie jest to tylko objawem jakiejś wyjątkowej, indywidualnej rozterki, nie jest to oderwanym tylko faktem, któryby statystyczną rubrykę „smutnych wypadków", zwyczajnych anomalii, wypełniał: jest coś poważniejszego w tym objawie, coby się uogólnić dało i nawiązać do ważniejszej kwestyi psychologicznego i moralnego stanu całych społeczeństw.

W duchowej atmosferze naszej epoki wytworzył się ów jakiś trujący marazm, wystąpiły jakieś rozkładowe, niszczące pierwiastki, które, jak owe epidemiczne zarazki materyalne, opadają dusze i umysły ludzkie.

Tesame środki, któremi bronimy się przeciw zarazkom w świecie organicznym, zastosowaćby należało dziś i w świecie moralnym. Hygiena duszy, jak hygiena ciała, stała się koniecznością, a ogólna dezinfekcya obowiązkiem, którego zaniedbanie straszną na nas samych karą odbić się musi.

We wszystkich dziedzinach duchowej działalności dają się dziś zauważyć te chorobliwe jakieś symptomata: w sztuce, w literaturze, w poezyi, nawet w polityce. Sine plamy i wyrzuty jakiejś nurtującej zgnilizny występują nazewnątrz; u nas mniej jeszcze, niż gdzieindziej, ale i nasze zdrowie moralne zepsute i podkopane, i my ulegamy tym wpływom ogólnej jakiejś prostracyi, które obezwładniają po nerwowych kurczach dzisiejszy ogół cywilizowanego świata.

Bronić się przeciw temu, opierać, ratować trzeba koniecznie, jeżeli się nie chce zmarnieć z trądem na duszy, który wysysa z niej wszystkie soki żywotne.

Obawiamy się cholery, a gorsze od niej złe: zaraza dusz i serc, znieczulenie, paraliż, anemia moralnego organizmu — grozi nam bardziej od azyatyckiej epidemii. Przeciw temu szukajmy środków!...

Wracając do kwestyi samobójstw, wspomnieć winniśmy o projekcie urządzenia w Warszawie trupiarni w rodzaju paryzkiej „morgi", w której ciała samobójców i nieboszczyków nagłą śmiercią zmarłych, wystawiane być mają na widok publiczny w celu rozpoznania osoby.

Ktokolwiek był w Paryżu, ten zwiedzać musiał zapewne ów niepozorny budynek nad Sekwaną, poza katedrą Najśw. Panny Maryi, w którym ogromna szklanna ściana zasłonięta zieloną firanką oddziela publiczność od miejsca zastawionego kamiennemi łożami, na których składane bywają trupy znalezione w ciągu dnia na gruncie Paryża.

W ciszy i skupieniu gromadzą się wszelkiego stanu i płci przechodnie, czekając rozsunięcia firanek i tego widowiska śmierci, które bywa najczęściej epilogiem jakiejś tragedyi życia.

Nagie ciała leżą na kamiennem posłaniu, a nad niemi rozwieszone widać suknie denatów.

Wśród cichych szeptów grozy odzywa się niekiedy nagle bolesny i rozpaczliwy krzyk; w tłumie powstaje zamieszanie; firankę z drugiej strony szybko zapuszczają—i urzędnicy „morgi" zabierają się do spisywania protokółu, który dyktuje omdlewająca córka, co poznała ciało swego ojca, zrozpaczona żona przy zwłokach męża, albo nieszczęsna matka, która tu dopiero odnalazła zaginionego syna.

Mnóztwo dramatycznych, wstrząsających do głębi scen rozgrywa się w tym budynku.

Otóż takąsamą *morgę* mają wystawić u nas i podobno w kilku większych miastach prowincyonalnych; będzie to może miało jaki związek z pożądaną reformą dzisiejszych przepisów policyjno-kryminalnych, które nakazują ciało samobójcy lub ofiarę zbrodni popełnionej zabezpieczać na miejscu aż do przeprowadzenia wstępnego śledztwa i sprawdzenia tożsamości osoby, co często dzień cały i więcej czasu zajmuje.

Obok nadzwyczajnej ilości samobójstw zwró-

ciła nadto uwagę prassy i władz szczególniejsza ilość wypadków znikania dzieci w Warszawie.

Kuryer Codzienny w tej tajemniczej sprawie postawił pytanie: „co to znaczy?“... W rubryce wypadków od dłuższego czasu codzień prawie czytać można stereotypowe niemal wiadomości, że tu lub ówdzie zginęło dziecko, którego odszukać się nie udało. Giną dzieci w wieku od lat dziesięciu do czternastu. Najbardziej wszelako uderzającym szczegółem w tych faktach, jest to, że ofiarą padają wyłącznie prawie dziewczynki.

Nie przesądzamy z góry tej sprawy—powiada wspomniane pismo—ale każdemu nasunąć się muszą do głowy poważne reflexye. Ciągłość bowiem i stałość w wykradaniu małoletnich dziewczątek wyłącza myśl, aby to zjawisko było dziełem ślepego trafu, prostego przypadku. Jeżeli zaś raz tylko przyjmiemy za przyczynę złą wolę ludzką, to łatwo domyśleć się można celu, w jakim porywane są niewinne istoty.

Być może, iż domysły *Kuryera* są zanadto śmiałe, ale żyjemy w czasach, w których zbrodnia pleni się coraz bujniej.

Przed kilku tygodniami ohydne tajemnice Londynu wstrętem przejęły całą Europę, po przeczytaniu odkryć, jakie, ze zbyt wielkim rozgłosem, wydrukował dziennik angielski „Pall-Mall-Gazette” w sprawie szerzącego się zepsucia na bruku stolicy Wielkiej Brytanii.

Demoralizacya tego rodzaju nie bywa wyłącznością pewnych miast albo krajów: wszędzie zapuszcza ona swój jad i pod większem lub mniejszem pokryciem prowadzi swoje dzieło niszczenia i rozkładu.

Jeżeli przeto statystyka faktów wspomnianych przez *Kuryera Codziennego* jest dokładną i nie stanowi tylko przypadkowego zbiegu okoliczności, należałoby wyjaśnieniem podejrzewanej sprawy zająć się wcześniej i energiczniej, abyśmy później nie musieli spisywać publicznych protokółów na wzór londyńskiego dziennika.

Dążność wszelako do sensacyjności, objawiająca się w niektórych naszych pismach brukowych, każe z pewną ostrożnością przyjmować podnoszone kwestye, które mimo to mogą mieć cechy wielkiego prawdopodobieństwa w rzeczywistości.

* * *

Rzecz oczywista, że poprawienie ogólnego położenia nie jest zależne od jakichś sporadycznych środków, ale wymaga długich, na lata całe rozłożonych trudów, starań, pracy, zabiegów, całego programmatu wspólnego działania wszystkich sił ekonomicznych, handlowych i przemysłowych w kraju, reformy wyzyskiwania dotychczasowych źródeł dochodu i zużytkowywania mienia krajowego.

Widzieliśmy, jak takie experymenta na szerszą skalę, w rodzaju ostatniej wystawy warszawskiej, w rezultacie zawodzą, bo spodziewanych materyalnych pożytków pomimo znacznego wysiłku pracy i kapitału nie przynoszą, i odrazu przyczyniać się do usunięcia zastoju, do rozbudzenia nowego produkcyjnego ruchu nie mogą.

Chwilowo wypłacają się pożytkiem lokalnym, wpływ swój na ogólny stan rzeczy warunkują wielu innemi czynnikami postronnemi.

Pożytek taki przyniesie i blizka już, bo za dni kilka otworzyć się mająca wystawa ogrodnicza na Ujazdowie, która trwać będzie od 5-go do 15 b. m. Komitet wystawy energicznie zabrał się do rzeczy, pomysłowo, gorliwie, rozdał bezpłatnie miejsca wystawcom, postarał się o urozmaicenie tego popisu woni, barw, smaku, kształtów—i pożytku ze świata roślinnego.

Dla podniesienia effektu i wrażeń estetycznych urządził na placu wystawy i w główniejszych pawilonach oświetlenie elektryczne, co pozwoli zwiedzać to zaczarowane państewko Flory i Pomony do późnego wieczora, oile pogoda temu nie przeszkodzi.

Na zakończenie odbyć się ma tombola z przedstawieniem dramatycznem i koncertem; począwszy od małych bukiecików i owoców, aż do kosztownych roślin i szczepów, będzie można wygrywać zebrane okazy, przeznaczone na loteryą, z których dochód powiększyć ma fundusze szkoły ogrodniczej.

Komitet zrobił tedy wszystko, do czego się zobowiązał; tylko pomocy nie od wszystkich zarówno doznał. Jedna z najpoważniejszych naszych firm przemysłowych odmówiła mu np. swojego żelaznego pawilonu, żądając podobno aż 750 rs. za prawo zużytkowania go na pomieszczenie okazów w ciągu dni dziesięciu.

Ta praktyczna niemiecka zasada: „nic darmo“ sprzeciwiła się tymrazem obowiązkom obywatelskim firmy, która w kraju powstała, wzrosła, majątek zrobiła, a do małej publicznej przysługi nie czuła się zobowiązaną.

Wystawcy, swoim zwyczajem, na ostatnią chwilę pozostawili sobie składanie deklaracyi, pomimo ciągłego odsuwania ostatecznego terminu; my przywykliśmy spóźniać się zawsze, nietylko do teatru i na koncerta, nietylko dla szyku, ale przez opieszałość i lenistwo.

Potem mamy pretensyą, że na nas nie czekano i że nas pominięto; gotowiśmy do obrazy śmiertelnej, do protestów i krytyki, niezadowolenia i wyrzutów.

Pragnąć-by należało aby Towarzystwo Ogrodnicze, rozpoczynając tak energicznie swoję działalność publiczną, nabrało skutkiem wystawy większej popularności, zyskało zwolenników więcej dla swoich celów i mogło nadal większemi środkami praktycznie rozporządzać.

Duch assocyacyi to nader ważna dźwignia społecznych, ekonomicznych i moralnych stosunków. Na wzór warszawskiego Towarzystwa Ogrodniczego powinnyby powstać i w innych ogniskach kraju podobne stowarzyszenia, których wspólna działalność około hodowli roślin, podniesienia ich kultury, rozbudzenia większego zamiłowania do tej pięknej, przyjemnej i zyskownej gałęzi gospodarstwa, mogłaby tem większy przynieść pożytek.

Miejmy nadzieję, że prędzej, czy później przyjdzie do tego.

Nasze Towarzystwo Wioślarskie, ciesząc się tak ogólną sympatyą i popularnością,—dowiodło, iż można wpływem i dobrym przykładem oddziałać korzystnie w tym duchu assocyacyjnym.

Oto w roku zeszłym pobudziło Płocczan do zawiązania u siebie rzecznego klubu; członkowie jego przed dwoma tygodniami odwiedzili starszych kollegów po wiośle w Warszawie, wzięli udział w regatach na ich cześć urządzonych i odpłynęli po kilkodniowym pobycie, ugoszczeni, zadowoleni, zachęceni jeszcze więcej do sportu, który i rozrywką i pożytkiem się staje.

Obecnie już za przykładem Płocka poszedł Włocławek: zawiązuje się tam również osobne Towarzystwo wioślarskie, podanie o zatwierdzenie statutów wniesiono z dobrem poleceniem do władzy, członków na początek znalazło się przeszło czterdziestu i jest nadzieja, że wkrótce pod Włocławkiem na Wiśle zaczną krążyć bąki, „scullingi“, ośmiowiosłówki, kierowane ręką dzielnych wioślarzy amatorów.

Wpłynie to także na rozbudzenie większego życia towarzyskiego, które na naszej prowincyi wlecze się zazwyczaj nudno i ospale, utykając bezustannie po wązkiej drożynie stosunków bardzo zacieśnionych i ograniczonych.

Jesień rozdmuchywać zaczyna powoli ognisko towarzyskiego i artystycznego życia w Warszawie; wędrowne ptactwo, podskubane ze złotych piórek w rozmaitych zagranicznych *badach* i *curortach*, ściąga powoli na swoje gniazda. Sezony kąpielowe się kończą. W mieście powoli ruch się wzmaga; po ulicach snują się już liczne gromadki mundurkowej młodzieży, co, jak roje pszczół, otaczają przepełnione ule szkolne.

Pomyślną wiadomość przyniosły nam pisma codzienne o blizkiem już otwarciu szkoły rzemiosłowej z zapisu ś. p. Konarskiego, który tak długo czekał swego spożytkowania zgodnie z wolą testatora.

Zapowiadają, iż komitet wydelegowany do urządzenia i otwarcia nowego zakładu naukowego, jeszcze przed Nowym Rokiem cele swoje zamierza uskutecznić i tymczasowo pomieści szkołę w lokalu wynajętym, aby tylko przyśpieszyć urzeczywistnienie pięknej myśli zmarłego filantropa, ozłoconej dziś już milionowym kapitałem.

Towarzystwo popierania przemysłu i handlu ze współudziałem starszych zgromadzeń rzemieślniczych, obraduje również nad sposobami powiększenia ilości szkół niedzielnych dla terminatorów, których kilkanaście tysięcy więdnie umysłowo bez nauki po pracownikach wszelkiego rodzaju.

Dwa powyższe fakta przynoszą nam nieco otuchy pod względem poprawienia jednej z najważniejszych kwestyi, jaką jest kwestya szkół i oświaty w naszem społeczeństwie.

Może znajdziemy jeszcze środki rozwiązania drugiej kwestyi, obchodzącej specyalnie Warszawę, mianowicie szpitalnej. Na całe miasto, dziś liczące *in vivo* 450,000 mieszkańców, mamy tylko 12 szpitali cywilnych, w których znajduje się ogółem 2.243 łóżek dla chorych, nie licząc, rozumie się, prywatnych zakładów leczniczych, domów zdrowia i przytułków filantropijnych.

Samo zestawienie tych liczb jest wymownym argumentem za potrzebą rozszerzenia istniejących instytucyi leczniczych, lub utworzenia nowych, inaczej biedni chorzy umierać będą dalej w dorożkach, wożeni od szpitala do szpitala, ginąć bez ratunku na barłogach lub na bruku ulicznym, a obłąkani snuć się będą coraz liczniej bez wszelkiej opieki po mieście.

Ufajmy przyszłości i sobie, dobrym sercom, obywatelskim uczuciom i energicznej woli.

ZJAZD PEDAGOGICZNY W PRZEMYSLU.

(Dalszy ciąg).

III.

Drugi dzień zjazdu.

(Zajęcia ręczne w szkole).

Obrady drugiego dnia Zjazdu rozpocząć się miały o godzinie 7-ej rano—naturalnie, że rozpoczęły się godziną później, niż pierwotnie w programmacie było naznaczone, t. j. o 8-ej. Posiedzenie dnia tego trwało blizko 6 godzin. Dwie tylko, ale za to najważniejsze, sprawy były przedmiotem obrad: rozpoczęta dnia poprzedniego sprawa najdonioślejsza dla nauczycieli, bo doli ich dotycząca, i druga, najwięcej mogąca ogół zainteressować, sprawa rzemiosł w szkole elementarnej. Dobrze się stało, że właściwy referent, p. Benoni, przypadkowo czy też umyślnie spóźnił się na posiedzenie, skutkiem czego nie rozpoczęto obrad od zawieszonej wczoraj dyskussyi, co, jak łatwo wnosić było można z dotychczasowego stanu rzeczy, mogło było pochłonąć cały czas posiedzenia. Tym sposobem nie spadło z porządku dziennego: sprawozdanie z podróży naukowej do Szwecyi, Danii i północnych Niemiec, odbytej z polecenia Wydziału Krajowego przez p. Siedmiograja, dyrektora szkoły wydziałowej w Sokalu. Wykład o „Nauce zręczności w pracy jako czynniku wychowawczym“ — bo tak p. Siedmiograj nazwał swoje sprawozdanie—trwał przeszło dwie godziny. Mówca zestawił w chronologicznym porządku, zaczynając od Lutra, poglądy dwudziestu blizko pedagogów na znaczenie zajęć ręcznych w wychowaniu młodzieży, wykazując, jakie ta sprawa przybrała rozmiary jako *nauka rzemiosł* na gruncie praktycznym w Niemczech i jakie jej w przeciwstawieniu tego nadano obecnie znaczenie w Szwecyi, jako *nauce zręczności*. Po takim ogólnym wstępie usłyszeliśmy dopiero wykład właściwy, t. j. pedagogiczne znaczenie nauki zręczności i opis szkół szwedzkich, a zwłaszcza szczegółowy opis seminaryum w Nääs, założonego i utrzymywanego bezprzykładną ofiarnością obywatela Abrahamshona, przyczem uwydatniła się nadzwyczajna ofiarność prywatna, której zawdzięczać

należy tak szybki rozwój tej sprawy w Szwecyi; następnie przegląd tego, co w szkółkach galicyjskich pod tym względem zrobiono, wreszcie wnioski referenta.

Nie możemy tu streszczać obszernego wykładu p. Siedmiograja; wyjdzie on zresztą w oddzielnej broszurze nakładem Towarzystwa Pedagogicznego, (taka bowiem zapadła uchwała zgromadzenia); przytem szczegóły o głośnym zakładzie w Nääs nie są już nowością, a w każdym razie w ramy naszego sprawozdania wtłoczyć-by się bez szkody nie dały; ograniczymy się na uwydatnieniu najważniejszych punktów tej sprawy. Przedewszystkiem zakreślić musimy granice, w których się przedmiot ten zawiera: idzie tu o zajęcie ręczne w szkole elementarnej, a więc rzemiosła czy zajęcia techniczne we wszelkich szkołach rzemieślniczych, przemysłowych, zawodowych, wyższych leżą nazewnątrz rozpatrywanej sprawy.

Rzemiosła w szkole elementarnej mają do dziś dnia przeciwników, którzy prędzej czy później ustąpić muszą przed przeważającą liczbą żarliwych obrońców, przed faktem wreszcie nader prędkiego postępu zajęć ręcznych w szkołach europejskich, chociaż te organicznie do planu wprowadzone nie zostały, lecz tylko tytułem próby, i to po większej części w godzinach pozaplanowych. Przedmiot ten ma już rozległą literaturę; zajmowało się nim i Towarzystwo Pedagogiczne, słuchając odczytu tej treści Jerzego Harwota w czasie zjazdu w Krakowie r. 1881, i urządzając w następnym roku, 1882, w czasie zjazdu w Kołomyi, wystawę robót szkolnych. Unikając powtarzań, powołujemy się na wówczesne sprawozdania w „*Bluszczu*“.

Przeglądamy właśnie w tej chwili bardzo zajmującą broszurę p. t. „Der Arbeitsunterricht, eine paedagogische und sociale Nothwendigkeit (Tübingen, 1885)“. Autor, Robert Seidel, zwalcza różne poglądy, jakie się dotąd w tej sprawie wyrobiły; odmawia znaczenia pedagogicznego poglądowi utylitarnemu, stawiającemu za cel takiej nauki w szkole uzdolnienie dzieci do zajmowania się w przyszłości przemysłem domowym lub przygotowanie ich do szkół rzemieślniczych czy technicznych; wykazuje niedostatki poglądu formalnego którego zwolennicy nie żądają korzyści praktycznych, lecz tylko wdrożenia dzieci do zajęć, zaszczepienia w nich zamiłowania pracy. Autor przypomina konieczność harmonijnego i równomiernego rozwoju ciała i ducha wychowanka, za czem przemawiali tacy myśliciele, jak Montaigne, Rousseau, Pestalozzi i inni; następnie, wziąwszy za punkt wyjścia ogródek freblowski i opierając nauki umysłowe na zajęciach ręcznych, kreśli programmat nauki w szkole ludowej. Praca fizyczna i umysłowa łączą się tu organicznie: tak np. zajęcia ręczne, metodycznie prowadzone, zastępują w zupełności „naukę rzeczy“. Autor, nie poprzestając na wykazaniu pedagogicznego znaczenia pracy ręcznej, rozpatruje ją z innych jeszcze względów, a zwłaszcza socyalnego i etycznego, wykazując, oile wpłynąć ona może i powinna na uspołecznienie i umoralnienie ludu.

P. Siedmiograj nie zapuszczał się tak daleko: chciał on tylko postawić w szkole obok zajęć umysłowych fizyczne, zapatrując się na te ostatnie, nie z utylitarnego, ale pedagogicznego punktu widzenia. Zajęcia takie wpływają przedewszystkiem korzystnie na fizyczny rozwój dziecka; oddziaływają przeciw szkodliwym skutkom długiego siedzenia, rozwijają mięśnie, ćwiczą oko i rękę, i wogóle wyrabiają zręczność; prowadzone metodycznie, rozwijają uwagę, pilność, wytrwałość, samodzielność, przyzwyczajają do porządku i do dokładności, wreszcie wdrażają poszanowanie dla pracy ręcznej, tudzież chęć i zamiłowanie pracy, bez czego jednostki i narody marnieją. Seminaryum w Nääs, a zwłaszcza regulamin zajęć w tym zakładzie o 40 przyrządach stolarskich i tokarskich — przy których już 800 przyszłych nauczycieli i nauczycielek swoich i obcych kursa odbyło, opisał pan Siedmiograj szczegółowo, przyczem oddał wielkie pochwały kobietom, które pracują tam bardzo pilnie i bardzo zręcznie, skutkiem czego mężczyzni „muszą się brać na pazury“, aby im dorównać. Praca taka odbywa się nader systematycznie podług ustopniowanych modeli; żadne malowanie, bejcowanie, lakierowanie nie ma tu miejsca, gdyż inaczej nie uwydatniłaby się czystość i dokładność. Kierownikiem takich zajęć, które tam nauką zręczności nazwano, ma być, nie rzemieślnik, któremu o popis chodzi, tylko pedagog, dla którego sam wyrób jest środkiem, a nie celem.

Opowiadając z uwielbieniem o niezmiernych postępach nauki zręczności w szkołach szwedzkich, z czem dotychczasowe próby w szkołach galicyjskich nie mogą iść w porównanie, referent pragnie „zaanimować“ całe zgromadzenie i przedstawia do jego uchwały dwa wnioski: 1-o zawezwać oddziały towarzystwa, aby, gdzie się tylko da i oile się tylko da, popierały roboty ręczne przy szkołach; 2-o udać się do władz, aby, zaprowadziły we wszystkich szkołach naukę zręczności, podobnie jak w Szwecyi, przyczem objaśnia, że zamówił w Nääs trzy komplety modeli: dla Muzeów w Krakowie i we Lwowie tudzież dla swojej szkoły w Sokalu, gdzie w następstwie rzeczy modele podobne dla rozpowszechnienia wyrabiać się będą.

Długi szereg mówców poleca gorąco rozwijanie rzemiosł, nietylko ze względów pedagogicznych, ale i z ekonomicznych, tak opłakanych w biednej Galicyi. Nie brakło i rozweselających epizodów, gdy p. Rykała dowodził, że nietylko dzieci, ale i starsi chłopcy, tacy „co mają już pretensyą do ożenku—półkawalerowie“ chętnie uczą się rzemiosł. Wystąpił z poważnemi zarzutami p. Myszkowski i radził nie przeszczepiać tej rzeczy pod wpływem mody z gruntu szwedzkiego, lecz rozwijać dalej rzemiosła w szkołach galicyjskich na podstawie tego, co dotąd zrobiono; począł dalej mówić przeciw szablonowości modeli,... nie dokończył jednak swoich wywodów, widząc zniecierpliwienie w zgromadzeniu. P. Maciołowski z Krakowa, przekonawszy zgromadzenie w dłuższem przemówieniu, że powaga Towarzystwa Pedagogicznego nie pozwala na doraźną uchwałę w sprawie, która jeszcze jest sporną; że w szkole elementarnej, która nie zdążyła podobno dotąd wypełnić całkowicie swego zadania, nie można, nie wolno robić nowych prób; że zresztą sama Szwecya nie od szkoły, ale od nauczycieli zaczęła: postawił nowe wnioski, na które się referent zgodził i które zgromadzenie przyjęło:

1) Seminarya nauczycielskie przystąpią, sposobem próby, do urządzenia pracowni szkolnych, a gdy te okażą się praktycznemi, uzdolnią kandydatów do udzielania tej nauki w szkołach ludowych.

2) Seminarya nauczycielskie, posiadające pracownie szkolne, urządzą, każdych wakacyi, sześciotygodniowy kurs dla nauczycieli starszych celem uzdolnienia i tych nauczycieli do kierowania pracownią, gdyby w szkole im powierzonej założoną być miała.

3) Zarząd główny wezwie oddziały Towarzystwa Pedagogicznego, aby wpływały na nauczycieli, iżby ci zachęcali młodzież szkolną do zaprawiania się w pracy ręcznej względnie do miejscowych stosunków poza godzinami szkolnemi, nie szczędząc dzieciom swych rad i wskazówek, oile znajomość rzeczy i doświadczenie nauczyciela na to pozwala.

Prócz trzech powyższych przyjęto jeszcze czwarty, dodatkowy, wniosek dyrektora Trzaskowskiego:

4) Szkoły, które już są na tym stopniu, że mają odpowiednio uzdolnionych nauczycieli i urządzone pracownie, powinny zaraz rozpocząć naukę zręczności z warunkiem jednak wypracowania nowego planu, którymby ta nauka, jako przedmiot obowiązujący, była objęta, i przedstawienia go Radzie Szkolnej pod zatwierdzenie.

Krótko załatwimy się z drugą sprawą, dotyczącą płacy i prawnego stanowiska nauczycieli; zajęła ona była cały prawie czas obrad przeszłorocznego zjadu w Tarnowie, powołać się przeto możemy na sprawozdanie, któreśmy przed rokiem na tem miejscu uczynili. Zresztą sprawa nie potrzebuje długich objaśnień: przysłowiowa nędza nauczycieli galicyjskich, mimo podwyższenia niektórych pozycyi, nie zmniejszyła się, przeciwnie, przy wzrastającej drożyznie powiększyć się musiała. Niejednokrotne uchwały zjazdów Towarzystwa Pedagogicznego, memoryały, petycye do Sejmu, równie jak i ostatnie uchwały zjazdu tarnowskiego, pozostały głosem wołającego na puszczy. Właśnie referent, dr Benoni szczegółowo sprawę tę przedstawił, objaśniając, że projekta petycyi, które zgromadzeni mają w rękach, są wyrazem wszystkich dotychczasowych usiłowań nauczycieli w tym względzie, a zredagowała je osobna kommissya po porozumieniu się z zarządami oddziałowemi towarzystwa i uwzględnieniu nadesłanych materyałów. Projekta te odnoszą się do zmian w Ustawie Szkolnej z d. 2 Maja 1873 r., zreferowano je treściwie i dosadnie. Zarząd, mający podać te petycyą w imieniu Towarzystwa, oświadcza wręcz, że dotychczasowe uposażenie nauczycieli ludowych nie zapewnia im skromnego nawet bytu materyalnego, że między nauczycielami, gorzej wynagradzanymi niż woźni, słudzy kolejowi i listonosze, zapanowała rażąca nędza, niedozwalająca im swobodnie oddawać się pracy zawodowej; że rewizya ustawy odpowiednio do wymagań czasu jest konieczną; że słuszność wymaga, aby dla nauczycieli Galicyi zrobiono to, co już zrobiono dla nauczycieli innych krajów koronnych, nie wyjmując Bukowiny. Projekt petycyi pierwszej, orzekającej podwyższenie płac nauczycielskich na 400, 500, 600, 700 i 900 złr., uregulowanie pięcioletnich dodatków za kierownictwo, zabezpieczenie losu i płacy nauczycieli szkół filialnych czyli „posiłkowych“, po wielu i długich dyskussyach został z małemi zmianami przez zgromadzenie przyjęty. Łatwo już potem zyskał approbatę zgromadzenia i projekt petycyi drugiej, regulujący, praktykowaną dotąd, a bardzo niepożądaną procedurę mianowania nauczycieli, tudzież projekt petycyi trzeciej, normujący lata służby nauczycielskiej i praw emerytalnych wdów i sierot po nauczycielach. Uchwalono tu tylko poprawkę, zmniejszając lata służby nauczycielskiej o 5 a mianowicie, z 35 na 30.

Skończyło się nareszcie przydługie tego dnia posiedzenie, a uczestnicy zjazdu znaleźli wypoczynek i miłą nagrodę w wycieczce do Dobromila. Sekcya wycieczkowa przemyska, pod prezydencyą adwokata, dra Baumfelda, i komitet dobromilski, przy ofiarności miasta, zrobiły wszystko, więcej nawet niż było potrzeba, ażeby wszyscy goście w zupełności byli zadowoleni.

Nawet miejscowa władza kolejowa, obojętna zwykle w takich razach, okazała niezwykłą uprzejmość, czyniąc wszelkie możliwe ułatwienia. Setki pedagogów i Przemyślan wyruszyły zaraz po obiedzie pociągiem spacerowym Kolei Łupkowskiej; na stacyi Dobromil przywitał przybyłych burmistrz miasta i uczyniła im honory straż ochotnicza ogniowa, której też zawdzięczać należy utrzymanie porządku, w jakim taka ilość gości przybyła na kilkudziesięciu podwodach, z czterech okolicznych wsi zebranych, do Lacka. Tu zwiedzono warzelnie soli, a następnie poczęto się zbierać w parku, starannie przystrojonym i zastawionym sutym podwieczorkiem. Piękna pogoda, dźwięk orkiestry, gościnność gospodarzy i gospodyń, mnogość osób i różnobarwność strojów: wszystko to nadało zebraniu szatę niezwykłą, świąteczną. Ogród, powiedzielibyśmy, zamienił się w wielki salon, gdzie zawrzała zabawa, wesołość, wymiana myśli. Mało też, dla dam zwłaszcza, przedstawiała interessu rozrywka przy kręglach i strzelnicy; wolały one, jak dowcipnie zauważył jeden z korrespondentów, przenieść się na grunt inny, zapowiadający pewniejsze zwycięztwo: była to arena z gustem przygotowana do tańca, na której też przy dźwiękach dwóch zmieniających się orkiestr zawrzała zabawa. Tańczono bez różnicy wieku i stanowiska: gorączka ta udzieliła się nawet korrespondentowi poważnego „Bluszczu“—prędko jednak z nieudanych prób się wycofał. Przebaczcie, Dobromilanki, wyjątkowo niezgrabnemu Warszawiakowi, przebaczcie, choćby przez pamięć zasług, jakie redaktor z Kielc, mój przyjaciel, na tej bezpodłogowej arenie położył. Z nastaniem zmroku wieczornego zajaśniały światła, transparenty, nawet i fajerwerki. Wybitniejszym osobistościom oddawano honory przez śpiew zbiorowy:

„Mnohaja lita.“ Późno wieczorem nastąpił powrót do Przemyśla.

Dziś jeszcze, po paru tygodniach, wycieczka ta budzi w nas nader miłe wspomnienie.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEKLĘTA WIOSNA.

NOWELLA

przez

Bronisława Grabowskiego.

(Dalszy ciąg).

II.

Życie jest niby wichrzyca, która chwyta człowieka, jak listek z drzewa opadły, kręci nim wkoło, niesie dalej, ciągle wykręcając na wsze strony, aż uniesie go gdzieś daleko, daleko, że nie podążysz ścigać oczyma. A jakim liść wyjdzie z tych szalonych harców? Jeśli znajdziesz go na końcu dzikiej wędrówki, zobaczysz szczątek zeschły, poszarpany, pokręcony, leżący na dnie rynsztoka lub parowu, tak nędzny, że go nawet nowa wichrzyca podjąć się nie sili. Skoro spojrzysz na tego trupa, niepogrzebionego jeszcze, anibyś uwierzył, że on kiedyś rósł wysoko na gałęzi, kąpiąc się w promykach słońca, bujając za lekkim wiosennego wietrzyka podmuchem...

Ale zanim liść z drzewa spadnie na igraszkę zamieci, ileż-to przejdzie przezeń deszczów i burz, ileż-to wichrów miotać będzie nim, całą gałęzią, nawet całem drzewem, ileż-to gałęzi i płonek połamie sroga żywiołów zaciekłość! Śledź losy liścia na drzewie, czy dzieje człowieka na ziemi, zawsze w końcu zapłaczesz Hiobowemi słowy: „Człowiek, urodzony z niewiasty, żywiąc przez czas krótki, napełnion bywa wielą nędz.“

A jednak ludzie na progu żywota, w dnie wiosenne, tak niebacznie, tak zuchwale sobie samym i innym szczęście przyobiecują! Przeklęta wiosna! ona upaja, rozmarza ciepłem słoneczka, tchnieniem świeżych wietrzyków, wonią ledwie rozkwitłego kwiecia, uśmiechem błękitu na niebie, figlami chmurek srebrzystych, iż uwierzysz, że tak będzie przez rok cały, przez całe życie. Jak to łatwo w takie dnie parze narzeczonych przyrzekać, ślubować sobie raj wieczysty, szczęście niezamącone!

Chodźmy zobaczyć, co się dzieje z temi dwoma listkami, które przyrosły do siebie serdecznem uczuciem, wytrysłem z piersi, niby żywica na młodych brzozach, wypryskująca pod ożywczem pocałunkiem kwietniowego słońca.

Nie szukajmy ich na poddaszach—już ich tam niéma. Na ich miejscu siedzą dwie rodziny rzemieślnicze: szewc kuje młotkiem w kopyto, a wali z całej siły, aby zagłuszyć gderającą żonę i płaczące wiecznie dzieciaki, a w drugiej izdebce krawiec zamaszyście kraje nożycami i igłą wywija, a wymyśla, na czem świat stoi, biednej kobiecinie, ślubnej żonie swej, którą czułem obejściem wpędził w chorobę tak, że się już z łóżka nie podźwignie nigdy. Obaj rzemieślnicy nieakuratnością swoją w wypłacie komornego wprawiają w zły humor panów obywateli a ci znowu się kłócą zawzięcie o tę starą topolę, która już tak się rozrosła, że prątkami drobnemi aż na oba dachy się wdziera.

A dawni tych poddaszy mieszkańcy? Mieszkają już teraz na ludnej, ożywionej ulicy, w samem ognisku życia miejskiego, w ognisku spraw i interessów sądowych. On otworzył kancellaryą adwokacką, przyjmuje klientów, skrobiąc się tylko w głowę, że ich przychodzi trochę za mało. A ona ubiera się w ładne sukienki, chodzi po ulicach oglądać wystawy po sklepach, mało jej na płacz się nie zbiera na myśl, że mąż nie daje tyle, aby mogła wrodzoną kobiecie chciwość fatałaszków i błyskotek zaspokoić do syta. Gdy wróci do domu, nadstawia różowiutki policzek na pocałunek ust mężowskich i mówi do niego z przymileniem:

— Nie uwierzysz, mój drogi, jaką śliczną widziałam w oknie u Jarockiego broszkę! Koralik i drobne brylanciki dokoła. Jakby mi pięknie w niej było, zwłaszcza, gdybym miała taką suknię jedwabną, ubraną axamitem, jaką oglądałam u Penkali...

— Kupię ci ja, kupię, moja najmilsza żoneczko. Poczekaj jednak, aż wygram ten wielki proces, za który piękne wezmę honoraryum.

— A kiedyż to będzie? — pyta już surowszym tonem.

— Za kilka miesięcy.

— Tak długo czekać, tak długo! A tymczasem ktoś kupi broszkę, a suknia wyjdzie z mody.

— To kupisz sobie inną broszkę i inną suknię, jakie natenczas będą w modzie.

— A jeśli przegrasz proces? — pyta żona, patrząc mężowi surowo w oczy.

Mąż przygryza wargi, przez głowę jego przykra myśl przechodzi:

— Więc ona nie ocenia w przegranej klęski, którą poniósłbym w mej karyerze, ale tylko stratę broszki i sukni...

Następuje dręcząca chwila milczenia. Piękna brunetka znowu podnosi oczy i wpatruje się w męża z wyrzutem, krzywiąc niechętnie usta:

— Obietnice, zawsze tylko obietnice!

A głos jej przeszedł już całą skalę, od słowiczego, pieściwego tonu aż do chrapliwej twardości, brzmiącej w uszach nakształt krakania kruczego.

Znowu następuje przykre milczenie; mąż składa papiery, bierze kapelusz, chwyta dłoń żony do pocałowania.

— Idziesz już? — pyta ona tonem niemal gniewnym.

— Muszę, czas do sądu.

— A śpiesz się z powrotem. Nie baw się zbyt długo.

Mąż odszedł, żona rozkłada zakupione drobnostki. Kupowała je z chorobliwym zapałem i zachwytem; teraz jednak rzuca na nie wzgardliwe spojrzenie, gniecie wstążki, ma ochotę złamać śpileczkę z brylancikiem: czemże bowiem jest to wszystko w porównaniu z garniturem brylantowym, wystawionym u Jarockiego, o którym chyba marzyć jej wolno?

Mąż wraca ze sądu, musi wysłuchać wyrzutu, że tak długo kazał czekać na siebie, co zwiększa jego zły humor, który przyniósł był ze sobą. W sądzie przegrał dwie sprawy, choć za całkiem pewne je poczytywał, a nadto dowiedział się, że w wielkim processie, mającym stanowić dla niego stopień do karyery, rozgłos i opinią, mającym dać żonie tyle upragnioną suknię i broszkę, strona przeciwna wzięła za adwokata Marcyanka, kollegę jego z uniwersytetu. Zna on go dobrze, wie, jak rzadko bywał na kursach, zwłaszcza w karnawale, gdy ślizgał się po woskowanych posadzkach, aż wyślizgał sobie jeszcze za studenckich czasów bogatą narzeczoną; ale wie także, iż ma on zdolność do wszelkiego szwindlu, że jest przebiegły, niecofający się przed niczem: więc wobec takiego współzawodnika żadna sprawa pewną być nie może. Wątpliwość rezultatu przygniata mu ducha, niby ciężki kamień, lęka się wszelako wyznać żonie, co go dręczy, bo ma wciąż na myśli kwestyą Jarockiego i Penkali. Siedzi więc przy stole chmurny, milczący, a ją drażni to milczenie, a jeszcze więcej wymuszone, lakoniczne odpowiedzi: przeto odpłaca mu wymówkami, których niedorzeczność sama dobrze czuje; ale czemuż cierpieć ma ona tylko jedna? I po niejakim czasie patrzą na siebie chmurnie, prawie wrogo, zda się gotowi wnet rzucić sobie wzajemnie ostre groty, co głęboko w sercu uwięzną; ale mąż wstaje i powolnym, chwiejącym się krokiem odchodzi do swych papierów.

Przesuńmy panoramę scen życia małżonków, wybierając sceny wyrazistsze, jaskrawsze.

Pół roku minęło z okładem, lato uszło przed jesienią, jesień wyniosła się, aby ustąpić miejsca zimie; nadeszły mrozy, śniegi i karnawał. Przez ten czas pan adwokat zdążył, między innemi, przegrać ów wielki proces, na którym takie pokładał nadzieje, przeboleć całą summę męczarni wewnętrznych, jakie sprawia nam każdy zawód, poczucie niesprawiedliwości zawistnego losu, widok tryumfu przeciwnika, którym pogardzamy, którego nicość znamy aż nadto dobrze. Ból dręczył go tem srożej, że bólu tego nie chciał podzielić z żoną; jakaś duma a zarazem tchórzliwa obawa niezasłużonych wyrzutów zamykała mu usta, tamowała w głębi piersi wzbierający potok zwierzeń. Aby nie zapytała go z czasem, co się dzieje z tym processem, brzemiennym w nadzieje, skwapliwie uprzedzał jej życzenia, kupował wszystko, czego zapragnęła w przystępie chwilowego kaprysu. Zaciągał nieoględnie długi, a gdy go zaniepokoiła myśl o tem, co go zczasem czeka, odwracał się od przyszłości z niechęcią: dość mu było, że na razie sobie spokój okupuje.

A pani adwokatowa radośnie przyjmuje wszystkie dary z ręki mężowskiej i nie pyta o nic; widać wszystko idzie, jak należy, kiedy jej małżonek niczego nie odmawia. Ma teraz i garnitur od Jarockiego i suknie od Penkali, a drugą jeszcze sprawiła sobie świeżo, bo jedzie właśnie na bal, który jeden z najzamożniejszych sług Temidy wyprawia. Ubiera się przed zwierciadłem i z niewymownym żalem robi uwagę, że przydałoby się jej wiele różnych szczegółów stroju. Jaka szkoda, że przypomniała sobie o nich tak późno: byłby ją mężulek z pewnością w nie zaopatrzył.

Pan mąż czeka, aż się żona ustroi, ubrany, gotowy oddawna, a czekając, nie może się obronić chęci obrachowania, ile ta jednonocna zabawa kosztować go będzie, jakim wysiłkiem pracy zapełnić trzeba szczerbę, którą zrobiła w skromnych jego dochodach. Chmurny, siada do wynajętej karety obok pani swego domu i serca, promieniejącej radością i dumą. Gniewa ją tylko usposobienie mężowskie.

— Jeśli nie miałeś ochoty jechać na bal, to czemużeś mi tego wcześniej w domu nie powiedział? — mówi, marszcząc czoło.

Mąż wzdycha. Nigdy nie okazywał ochoty do zabawy, ale żona użyła całej strategii przymilań, aby go do udania się na ów bal nakłonić; wie także, iż miała w odwodzie cały arsenał wyrzutów bolesnych, gdyby był otwarcie niechęć swoję wyraził.

— Jeżeli ci się to nie podoba — mówi znowu żona — jeszcze czas: każ tylko zawrócić karecie do domu.

— Ależ nie... nie...

— Tak mówisz teraz, a potem gotów jesteś robić mi jeszcze wyrzuty: lepiej wracajmy, póki czas.

I niby to zabiera się dać odpowiedni rozkaz; mąż powstrzymuje ją i wśród tej walki stają przed domem, gdzie z pierwszego piętra bije aż łuna z oświeconego salonu.

Jeszcze możnaby wrócić do domu, ale pani biegnie szybko po schodach, już jest w przedpokoju i wierzchnie ubranie z siebie zdejmuje. Odwrót przecięty.

Na sali powódź blasków leją lampy i kinkiety, a w tej olśniewającej powodzi jaśnieją toalety balowe, suknie niby z mgły i barw tęczowych utkane, złote i brylantowe węże, okręcające szyje i ręce, niby z marmuru kararyjskiego i alabastru utoczone, pióra, które wydarto zamorskiemu ptactwu, i kwiaty sztuczne, którym poszukano wzorów w bogatym fantazyi ogrodzie. Ten przepych czaruje wchodzących; pani ze wstydem mimowolnym ocenia, jak niknie wobec strojów tutejszych to, na co ona zdobyć się zdołała. Jego z protekcyonalną uprzejmością witają obecni panowie matadory świata prawniczego, tuzy giełdowe, ludzie, którym szybko i gładko udało się złowić pokaźne stanowiska lub posażne żony. Są to po większej części jego niedawni kolledzy uniwersyteccy; na ławach studenckich zaćmiewał ich swoją wiedzą i nauką; dziś oni imponują mu tem wszystkiem, czego stara wszetecznica, fortuna, nie daje mądrym i cnotliwym bo zbyt hojnie rozdaje szczęśliwym i... zręcznym.

Brzmią tony skocznej gędźby; przy jej dźwiękach przewijają się różnobarwne koła po sali, kręcą się migotliwemi pląsów wieńcami, a wśród tego wieńca rzadko ukaże się kibić naszej uroczej czarnobrewki, pomimo, że jej włos hebanowy śliczniejszy jest od wszystkich aksamitów, a blaskowi czarnych oczu żaden kamień drogi nie

dorówna. Z okrutną litością poglądają na nią strojne panie, szepcząc sobie z zabójczo-łaskawym uśmiechem, że ta i owa pamięta, jak brunetka za lat panieńskich w lichej perkalowej sukience biegła z podokopowej uliczki na drugorzędną pensyjkę, a potem wracała na... poddasze.

Czarnobrewa siedzi w kątku, markotnie, prawie apatycznie zapatrzona w pstrą mieszaninę ludzi i strojów, czuje swoje fałszywe w tym salonie stanowisko, widzi niby przeze mgłę wzgardliwe spojrzenia na nią rzucane i jasnowidzeniem ducha odgaduje, co o niej szepcą, co o niej myślą nawet. I poprzysięga sobie, że dojdzie, dojść musi do tego, że kiedyś ten świat przestanie ją uważać za przypadkowe wpośród siebie zjawisko, że się grzecznie jej skłoni i poufale do niej uśmiechnie. Przecież większość obecnych tu są to dzieci tych rodów, co w przeszłości przed jej rodem wyginały grzbiety, omal nie uderzając czołem o ziemię!

Najęta kareta odwozi napowrót parę młodych małżonków do domu. Pani serce przygniata całe brzemię doznanego upokorzenia, łkanie tajemne rozpiera pierś zbolałą, ale twarz uśmiecha się kłamliwie i usta krzywią się, ale szepcą:

— Tak dobrze bawiliśmy się dzisiaj. Jakie dobrane towarzystwo, jaki salon piękny! Za rok, za dwa my takiś sam otworzymy u siebie. Nieprawdaż?

On milczy, a kto milczy, ten przytakuje. Ona więc marzenie swoje zapisuje na karb nieodwołalnych przyrzeczeń: wszakżeż w ogrodzie w wieczór majowy, przyobiecywał jej, ślubował, że dla niej zdobędzie wszystko, o czem tylko zamarzyć zdoła, że jej szczęście pod nogi podściele!

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LI.

Teatr Nowy: **Surdut i Siermięga**, obraz ludowy w 3 aktach, ze śpiewami i tańcami, oryginalnie napisany przez *Wł. D. Gutowskiego*; muzyka Augusta Balcarka. **Za przykładem**, obraz sceniczny w 1 akcie, *Władysława Laczykowicza*. — Teatr Letni: **Mąż z grzeczności**, komedya w 3 aktach, przez Adolfa Abrahamowicza i Ryszarda Ruszkowskiego — przedstawiona poraz pierwszy dnia 24 Sierpnia r. b.

Ilekroć spostrzeżemy na afiszu sztukę ludową, wstępuje w nas mimowoli jakaś dobra otucha, którą tłómaczymy sobie reakcyą myśli przeciwko ogólnemu charakterowi naszej literatury twórczej. Charakterem tym u nas, i nie u nas, jest kastowość. Klassy wyższe w Europie szczel nie zamykają się przed niższemi, w powieściach i dramatach samemi sobą się napawają, na szczególny sport biorą sobie hrabiów, książąt i dygnitarzy, z ludu dopuszczają tylko kobiety wynoszące się przez upadek; wieśniak, rzemieślnik, dziecię miasta czasem dodatkowo tylko zjawi się na widowni, i to jeszcze najczęściej dla wzbudzenia śmiechu lub towarzyskiej odrazy. Oświaty i literatury ludowej właściwie niéma. Co się nad poziom ludowy wzbije, to przystaje zaraz do tej warstwy, w której oświatę zaczerpnęło; tradycya się zrywa, lud w danem indywiduum ginie. Ogrom podobnych zjawisk jest tak wielki, że rozum skłania się chętnie do upatrywania w nich nieodwróconej jakiejś konieczności. Złe jest powszechnem. W literaturze żyje tylko pewna część społeczeństwa, a ta, na którą słowo umiejętne mogłoby wywrzeć wpływ największy, pozbawiona jest prawa do życia. Dyagnoza społeczna stwierdza na tym punkcie kalectwo wielkie, tem większe, że już chroniczne i niezostawiające prawie nadziei wyleczenia. Przyczynia się ono niemało do rozkopania jeszcze głębiej przepaści między wyższymi, a niższymi, między pożądaniem a używaniem, między ciemną drapieżnością jednych a oświeconą pychą i bezpłodną oświatą drugich.

Te słabe błyski, z których się składa światło dzisiejszej literatury ludowej, mają podwójne powołanie w sztuce: winny stawiać lud przed oczy i sposobem, w jaki go przedstawiają, kształcić. O powołaniu pedagogicznem sztuki w klassach wyższych umysł trzeźwy, wszechstronnie sądzący, mówić będzie zawsze z jaknajwiększą skromnością, poda nawet w wątpliwość umoralniający wpływ teatru; ale wobec ludu powołanie to odważnie już, szczerze, bez blagi, jako rzetelna idea przewodnia wystąpić będzie mogło. Lud jest nieskończenie zdolniejszym do uprawy złej lub dobrej, od nas, którzyśmy już uprawę przebyli. Tam grunt świeży, tu już wyjałowiony. Słowo dla ludu ma daleko większe znaczenie, sztuka daleko większy urok, jeśli tylko raz już zdołała obudzić zajęcie. My się jedynie bawimy: lud się przejmuje; u nas drżą tylko estetycznie nerwy: u nich wzrusza się uczucie moralne. Na samej literaturze, na samym teatrze, ład społeczny nie zakwitnie, ale dla właściwych czynników swoich zyskać może w literaturze i teatrze bardzo poważną pomoc.

Tak się przedstawia teorya; strony praktycznej u nas nie tykamy. Leży w tej stronie niedostępna puszcza, od której wieje strach i ból. Nawet tam, gdzie może być literatura ludowa, gdzie są sztuki ludowe, niéma ludowego teatru. Na *Emigracyą chłopską* trzeba było zdaleka zwozić lud do miasta; teatr nie przyszedł do widza nie znalazł go w jego własnej siedzibie, nie zgromadził wkoło siebie naturalnej, w gruncie rosnącej, całości, lecz tylko sztucznie wyrwane i ułożone jednostki. A tymczasem teatr ludowy powinien wędrować po wsiach i miasteczkach, a dawać do siebie tak łatwy dostęp, żeby w jego samem istnieniu widać było materyalne dowody troski i ofiarności klas wyższych, klas przez intelligencyą i zasobność do kierowania życiem społecznem powołanych.

Sztuka p. Gutowskiego sprawia bardzo miłe wrażenie. Może jej słuchać i surdut, powinna jej słuchać siermięga. Autor połączył obraz ludu z nauką dla ludu, a uczynił to w sposób prosty, niewyszukany, ze znajomością życia ludowego. Nie wszystko tu jest złotem, a nawet szczerego złota dramaturgii niewiele; lecz wszystko wdzięcznie się przed umysłem widza rozwija, odsłaniając natury dobre, serdeczne, prawe, poruszające się swobodnie w kierunku obranego tematu. Sposób opracowania, styl architektoniki, zasługuje na uznanie. Sztuka nie dźwiga na sobie balastu szczegółów dodatkowych, malowanie nie zajmuje więcej miejsca, niż ruch; jedność działania prawa swoje w zupełności zaspakaja: a ztąd w kompozycyi panuje jasność, zesrodkowanie, wymowność, osiągana samemi faktami—rzecz w teatrze mającym cel pedagogiczny najważniejsza. Lud w akcie I i III doskonale rozmawia, bawi się i poswojemu rozumuje, od rozumowań przechodzi do sporów, od sporów do bijatyki, od bijatyki powraca znowu do zgody sąsiedzkiej, jedności rodzinnej, małżeńskiej miłości. Gromada nie zalewa jednostek, ale zjawia się wtedy, kiedy jest dla nich potrzebną. Humor ani razu nie jest brutalnym, dowcip stoi na poziomie umysłowości ludu. Wesoła gromadka umie i pośpiewać i potańczyć i popłakać. Kobiety wiejskie zawodzą—że aż za boki brać się potrzeba. Czuć w tem wszystkiem życie, mowę, uczucia, myśli i samą metodę psychologiczną ludu. Wszystkie charaktery głównie, a jest ich niewiele (Pychałowie, Mateusz, Tomek), bardzo dobrze utrzymane. Figura Grzegorza, lekko-satyryczna, bez przesady zarysowana, podnosi effektowność obrazu. Pychała bez zarzutu, od początku do końca trwa najpierw w swej pysze, która nie strawiła jeszcze prawej natury, potem w żałości i pokucie, przez prawość tę narzuconej. Jednem słowem: strona ludowa sztuki p. Gutowskiego zostawia w umyśle wybitne wrażenie dodatnie.

Inaczej się rzecz ma ze stroną psychologiczną, mianowicie z jedynym charakterem ujemnym sztuki, z synem Pychałów, wypierającym się swych rodziców, p. adwokatem Pychalskim. Dla niego przeznaczył autor cały akt II. Pychałowie przywożą bratu siostrę; stary chce ją wykierować na *marmuzelę*, jak wykierował już syna na *uczonego*, i z naiwnością ciasnego, zaciętego egoistycznie umysłu, eskontuje już z góry nadzieję radosnej sceny powitania. Ponieważ p. Gutowski na chwilę przed przybyciem niespodzianem rodziców wyrywa synowi z piersi gorące do nich westchnienie, powyższa więc nadzieja nie wydaje się widzowi zupełnie ułudną. Możeby się ziściła, gdyby nie oczy ludzkie, oczy przyjaciół młodego adwokata, którzy zebrali się właśnie u niego i na początku aktu II wikłają się w nadzwyczaj niezdarne nieporozumienie pomiędzy sobą. Są to istne żaki. Zaskoczony przez takie powagi, tchórz dwubiegunowy, i w cnocie, i w podłości, Franciszek Pychalski nie umie podleźć, a nie ma siły przeskoczyć, i ostatecznie wypiera się swoich rodziców tylko na to, aby z opinią człowieka *źle urodzonego* połączyć jeszcze opinią wyrodnego syna. Nie było nic łatwiejszego nad usunięcie widzów i rozprawianie się z samymi rodzicami; gwałtem tylko sprowadzony przypadek mógł wydać spotkanie w okolicznościach przedstawionych w sztuce. Obrona głupiego honoru — ileż-to razy około głupstwa obraca się ten nasz świat obyczajowy!—poszła Franciszkowi tak niezręcznie, że potem już nikczemność jego wcale nas nie uderza. W niegodnym synu widzimy przedewszystkiem tchórza, który wzdychał do rodziców, dopóki mu sfery jego stosunków na pysze opartych nie zmącili, a wyparł się ich, gdy w tę sferę wtargnęli. Ale i tchórzem porządnym być nie umiał, bo dał się wyszczekanemu Karolowi w kozi róg zapędzić, i nikczemnikiem być nie umiał, bo już, brnąc konsekwentnie w bagnisko, powinien był widzom swoim, sędziom swego honoru, dać dowód przekonywający, że ci mniemani rodzice są dla niego zupełnie obcymi. Dalsze rozplątywanie kłębka przez p. Sielskiego, który przychodzi człowiekowi źle urodzonemu odmówić swej córki, a kończy na roli pośrednika między nim a rodzicami—jest równie niezręcznem i nieprawdziwem, jak było całe poprzednie przejawienie się Franciszka. Należało ukarać Pychałę tymsamym mieczem, którym wojował.

Sztukę grano szczerze, z życiem; granoby lepiej, gdyby nie zbyt częste odwoływanie się do suflera. P. Borawski i Morozowicz, panna Micińska, a w trzecim akcie pani Borkowska rej wodzą. Przydałaby się lepsza Ulisia w miejsce p. Oswaldowej. Wymawianie kujawskie nie wszystkim dopisywało; p. Borawski wcale się nie starał o nie i przez to rola jego odskakiwała od całości.

Za przykładem napisane jest bez talentu i bez talentu też grane. Trzymając się tytułu, (mówimy tylko o młodych (p. Cieślińskiej i p. Nowickim), którzy idą za przykładem dziadzi i babci, lub wujaszka i cioci — wszystko co chcecie. Temat bardzo pospolity, we wszystkich sztukach mających w tytule „babunię, dziadunia, pieszczoszkę, piosenkę“ napotykamy; ale niéma starych tematów dla nowych sił. P. Laczykowicz nie jest żadną siłą: nie można więc mieć do niego żadnej pretensyi — prócz tej jednej, że sztukę napisaną dla własnej przyjemności przeznaczył dla teatru. Poezyi ani krzty; zato oklepany realizm — jak się dziś nazywa sztuka ukazywania piegów na obliczu.

Jest na świecie dużo potworów, dużo rozbójników idących przebojem; ale nie braknie także i niedołęgów, którzy są jak beczki bez dna, jak miękka glina dająca się na wszystkie strony urabiać, jak próżne naczynia, w które każdy nalewa co chce i kiedy chce wylewa. Ludzie tacy czują byt zewnętrzny, tylko nie czują bytu własnego, własnej swej indywidualności; granicy pomiędzy sobą a nie-sobą nie znają. Nie mają w życiu żadnego silniejszego interessu: są też niezdolni do indywidualizowania swych uczuć; nikogo nie kochają, ale za to lubią wszystkich. Tchórzowstwo moralne wyrabia się w nich skutkiem nieużywania sił prowadzących w potrzebie do męztwa; z tchórzowstwa tego rodzi się grzeczność dla wszystkich. Są to natury przeważnie z temperamentem ślamazarnym, limfatycznym; zamłodu już były takiemi—starość odda je takiemisamemi grobowi, jakiemi je młodość wyjęła z kolebki.

W teatrze takich ugrzecznionych nie często się spotyka; jestto już pewien typ odrębny, a teatr lubi uprawiać pospolite. Co się nam w *Jacusiu* Lubowskiego podobało, to nas i dla *Męża z grze-*

czności zjednywa: nowość obserwacyi, nowość charakteru z niej wyprowadzonego. Za komedyą pp. Abrahamowicza i Ruszkowskiego przemawia świeżość tematu; wnosi za nią głos i bardzo ożywiony humor. Oto człowiek, który nawet żeni się z grzeczności, a przedtem już z grzeczności także zobowiązał się nie wchodzić w związki małżeńskie bez opowiedzenia się swemu, gdzieś daleko mieszkającemu, przyjacielowi. Jest on grzecznym dla starej panny, uniżonym dla własnego lokaja i pokojówki, a grzeczność swoję dla żony—to już posuwa nawet do zapomnienia o niej; aż dopiero nakręcony przez przyjaciela, trajkocze już jak excytarz i energią swoją płytką, wydęta, jak pęcherz, otoczenie całe podziwem przejmuje. W dwóch pierwszych aktach jest mnóztwo położeń komicznych, z charakteru samego wynikających. W historyą męża autorowie wpletli jeszcze przygody dwóch doletnich już kobiet i starego pieczeniarza, i dodali do nich dawne dzieje sentymentalnej miłości, a nie poprzestając jeszcze na tem, wprowadzili na scenę galeryą dwóch kwok trudniących się kwestą i obmową, starego kawalera, którego gniewa cisza, z jaką wchodzi do swego mieszkania Mąż z grzeczności, wreszcie właściciela domu, zaniepokojonego tą właśnie grzecznością swego bohatera. Za pośredników kierujących akcyą służą: stary kawaler i kapitan z Bośnii.

Do zwiększenia ruchu w sztuce przyczynia się para służących, która w uczuciach swych nie chce już znać ani grzeczności ani długich korowodów. Poważnie zagięty parol na Hilarego (Męża z grzeczności), poważny wybuch niezgodności małżeńskiej i zakłócenie stosunków rodzinnych nakazuje uważać tę sztukę za komedyą, nie za krotochwilę; ale znowu sposób opracowania tej komedyi jest całkiem krotochwilny a charaktery przechodzą w karykatury. Autorowie mówią sobie zbyt często: „Pohulajmy“, mniej troszcząc się już o charaktery, o sceny, o powstającą z nich całość. Dla literatury *Mąż z grzeczności* ma mniejsze znaczenie, niż dla teatru, gdzie zyskał już sobie prawo obywatelstwa i nawet wziętość. Gdyby o planie lepiej pamiętano, sztuka byłaby znacznie krótszą, większa połowa III-go aktu zupełnie-by odpadła, a konieczna scena z Jędrzejem, inaczej opracowana, weszłaby przed samo zakończenie aktu II, najlepiej nadające się na finał całego utworu. Dalsze historye aktu III po tem zakończeniu są już prawie nudne.

Na scenie rej wodził p. Tatarkiewicz w roli tytułowej. Duchowa charakterystyka była tu przewyborna; początek aktu II pozostanie jako wzór dla gry w podobnych rolach i podobnych momentach ról. Kiedy po długiej milczącej scenie artysta wymawia: „Ożeniłem się!“—teatr musi parsknąć śmiechem. Panna Wiśnowska była dobrą żoną Męża z grzeczności, Wandą. P. Leszczyńskiemu, który i tak spokojnie ustać i spokojnie mówić nie może,—kazali jeszcze autorowie nie zawsze potrzebnie rozrzucać się i rozbijać: ztąd też ta rola ciążyła widzowi swym nadmiarem P. Ładnowski był dość naturalny i prawdziwy. P. Dyonizy Kapciulewicz (p. Grzywiński), mógłby mieć ruchliwszego, lepszym światłocieniem głosowym obdarzonego, przedstawiciela.

Stanisław Krzemiński.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów, w Sierpniu 1885 r.

Wystawa Sztuk Pięknych.

Przeszedłszy się po tegorocznej naszej wystawie obrazów znajdujemy na niej przedewszystkiem taką liczbę obrazów historycznych, jakiej nigdy dotąd na wystawach tutejszych nie bywało. Jest kilka płócien wielkiego rozmiaru, zwracających na siebie uwagę przedmiotami zaczerpniętemi z dziejów, co znamionuje młodą szkołę malarską, usiłującą iść w ślady mistrza Matejki i kształcącą się na jego wzorach. Wprawdzie pomiędzy temi utworami młodszego pędzla nie znajdujemy jeszcze dzieła geniuszu zapowiadającego się czemś szczególniejszem; ale jest to już zawsze wybitny kierunek, wróżący dobrze o przyszłości, który-to kierunek, pielęgnowany z zapałem i siłą młodej energii, przy pracy i talencie świetne może wydać plony.

Na naczelną wzmiankę zasługuje Rossowskiego: „Wjazd królowej Jadwigi do Krakowa“. Wspaniały orszak królewski, kieruje się zwolna ku zamkowi na Wawelu, otoczony gromadami ciekawej ludności. Na czele postępują heroldowie, królowa wjeżdża konno w świetnym stroju, w pozłocistej amazonce. Dwóch giermków prowadzi konia. Towarzyszą królowej konno: z prawej strony Dymitr kardynał, arcybiskup ostrzykoński, z lewej biskup Czanadzki i Jaśko z Tęczyna; dalej damy dworu, szlachta węgierska, straż przyboczna, a za całą tą kawalkatą kolasa królowej. Na powitanie Jadwigi wychodzi z miasta orszak mieszczan i duchowieństwa z chlebem i solą. Na czele Bodzanta, Arcybiskup Gnieźnieński, z Biskupem Krakowskim. Wisłą podpływa ku brzegowi łódź flisacka, wioząc grono mieszczek krakowskich, ciekawych przypatrzyć się uroczystemu widowisku. I nie można się dziwić, że ten przepych strojów, ta rozmaitość postaci, składających się na całość obrazu, pociąga wzrok pospólstwa i olśniewa zarazem. Malarz miał tu sposobność rozwinąć bogactwo kolorytu, z której też skorzystał, ile tylko mógł. Stroje magnatów i rycerstwa składającego orszak królewski, świąteczne ubiory ludu, zbroje, bogate rzędy końskie i wszystkie tym podobne akcesorya, w guście Makarta, dostarczały obfitego materyału. Z artystycznego wszakże stanowiska, wobec krytyki szukającej w obrazie wyższych motywów, ożywiających kompozycyą i wlewających w nią ducha, któryby ją podniósł do znaczenia obrazu historycznego, utwór niniejszy p. Rossowskiego nie odpowiada założeniu. Najpierw, że główna osoba obrazu, królowa Jadwiga, nie posiada ani tego majestatu królewskiego, którym-byśmy ją radzi widzieć otoczoną, ani w twarzy jej nie dopatrzyć tych wrażeń, jakie w owej chwili musiały poruszać sercem młodziutkiej królowej. Na obrazie jest to osoba znacznie starsza, niż była Jadwiga w owych leciech, a zajęta jest głównie prowadzeniem swego wierzchowca, któremu tuż pod stopy prawie podpływa Wisła, gdzie rybacy włok zapuszczają właśnie. Flisak przybijający do brzegu z czółnem wiozącem grono mieszczek, ma fizionomią włoskiego lazzarona lub gondoliera, a co już najmniej powiodły się to konie, w rozmaitych postaciach nieszczęśliwie rysowane. Za błąd w ugrupowaniu uważalibyśmy także przepołowienie kompozycyi na dwie zupełnie odrębne grupy ogromną, rosochatą wierzbą, poprzedniczką nadwiślańskich topoli. Wierzba ta zajmuje znaczną część środka obrazu, przeciw czemu nic-byśmy nie mieli, gdyby nie to, że orszak królewski zwraca się poza wierzbą naprawo ku Zamkowi, a orszak duchowieństwa i mieszczan, wychodzący na powitanie królowej z chlebem i solą, ukazuje się zpoza wierzby z lewej strony, tak, iż można być pewnym, że orszaki te, okrążywszy drzewo, nie spotkają się wcale z sobą. Tych parę uwag nasuwa się koniecznie przy oglądaniu obrazu p. Rossowskiego, a że to artysta młody, a Kraków nie odrazu zbudowany, więc sąd otwarcie wypowiedziany pożyteczniejszym być może od pochlebczych kadzideł dla artysty wstępującego na szerokie pole malarstwa historycznego.

Czy widoki bitew są obrazami historycznemi lub nie? W gruncie rzeczy niekoniecznie; jeżeli mianowicie zamiarem malarza było tylko przedstawienie jakiejś sceny ogólnikowej, jakiejś malowniczej grupy walczących. Taka bitwa nie będzie niczem więcej, jeno zwykłym obrazem dekoracyjnym. Ale obraz staje się historycznym, jeżeli malarz, nie poprzestając na wrażeniu scenicznem, związał z kompozycyą swą pewną myśl historyczną, jeżeli przedstawił bitwę, która wywołała pewien stanowczy zwrot w dziejach, wpłynęła na losy narodu, stworzyła epokę, tudzież jeżeli w obrazie swym wprowadza osoby historyczne, ważną rolę na widowni dziejowej odgrywające. Taki obraz zamierzył stworzyć p. Krzesz, młody, bo po raz pierwszy dający się nam tutaj poznać artysta, w swej wielkich rozmiarów kompozycyi, przedstawiającej: *Bitwę pod Orszą nad Dnieprem r. 1507*, w chwili, gdy rycerstwo polskie przez Dniepr się przeprawia, według opisu Gwagnina, naocznego świadka i uczestnika tej bitwy. Artysta trzyma się ściśle tego opisu, ale całość kompozycyi ma w swym układzie, powiedziałbym, coś zawiłego, chaotycznego. Rzeka, skały, na tłok ludzi i koni na lądzie i wodzie, przeprawiających się lub tonących w nurtach rzeki: wszystko to skupione, w kłąb zbite, z nagromadzeniem trudności technicznych, jakby umyślnie dlatego, aby je forsownie dla większego wrażenia przezwyciężyć. Ztąd wynika w wielu miejscach przesada i nienaturalność postawy i ruchów; dość, naprzykład, spojrzeć na owego karykaturalnie wyobrażonego konia, spadającego głową na dół ze skały w rzekę. Za rzeką na głównym planie widzimy Zygmunta I na koniu, z buławą w ręku, zachęcającego do attaku hufce, ku którym się zwraca. Obok niego grupują się rycerskie, wybitne postacie Firleja, Ostrogskiego, Jana Tarnowskiego i innych. W głębi, na szczycie skały, widać zamek płonący, a naprzeciw miasteczko Orszę. Wszystko to, zaledwie podmalowane, gubi się w mglistych konturach. Wszelako braknie obrazowi szerokiej, powietrznej perspektywy, dającej swobodny przegląd bitwy i krajobrazu. Najpiękniejszą postacią, około której skupia się uwaga widza, jest młodzieńczy król Zygmunt. Widocznie twórca obrazu jest uczniem Matejki. Poznać to po wszystkich szczegółach, po całym układzie, przedewszystkiem zaś po rysunku głównych postaci o wybitnej charakterystyce, wreszcie po bogactwie kolorytu, objawiającego się silną jaskrawością barw i kontrastów, które jednak nie są tutaj wszędzie, jakby należało, umiejętnie umiarkowane i do właściwej doprowadzone harmonii. Pomimo słabych stron, widać w tym obrazie zasoby talentu, pracę i kierunek, z których wróżyć można, że p. Krzesz wykształci się na dobrego malarza historycznego.

Głównym warunkiem dobrze obmyślanego układu bitwy na obrazie jest ujęcie i przedstawienie chwili stanowczej, skupiającej w sobie całą treść, cały przebieg rozprawy i dającą o niej wyobrażenie na pierwszy rzut oka. Warunku tego nie spełnia *Bitwa kawaleryi pod laskiem*, Łuskiny. Niéma w niej pewnego jakiegoś punktu, zwracającego szczególniejszą uwagę widza, niéma nic coby tę bitwę od innej jakiejkolwiek wyróżniało. Ze zmianą mundurów mógłby ten obraz każdą zarówno wyobrażać bitwę, według ogólnikowego przedstawioną schematu. Wszystko tu rozproszone; kawalerzyści pojedynkiem wyścigają się i walczą samowtór na lance i pałasze; ale, co najgorsza że walka ta idzie jakoś bez życia, że nie znać w tem ruchu i szału, jaki z natury rzeczy ogarnia walczących, unosi i zwycięża.

Mamy jeszcze Eljasza *Obronę Trębowli*. To także bitwa, tylko, że nie na otwartem stoczona polu, ale pod murami zamku, do których w chmurze dymów armatnich szturmują Turcy. Z układu i kolorytu poznać odrazu pędzel Eljasza, znany z dawniejszych podobnego rodzaju kompozycyi.

W czasy najazdów tatarskich przenosi nas obraz Daczyńskiego *Przegląd łupów i branek*. Przed chana spoczywającego wygodnie pod namiotem przyprowadzają młodą brankę, zapewne dla niego przeznaczoną. Wokoło mnóztwo jeńców różnej płci, wieku i stanu, rozmaicie ugrupowanych, z wyrazem rozpaczy, smutku lub rezygnacyi. Pomiędzy nimi snują się barbarzyńskie postacie dziczy tatarskiej. Fizionomie typowe, wyrażające łakomstwo i pożądliwość, surowe i srogie, wybitnie odróżniają się od rzeszy pojmanych w jasyr brańców. Podział łupów rozbudza namiętności. Bezlitośnie rozłączają żonę od męża, córkę od matki, i każdy rad uprowadzić swą zdobycz, która mu przypadła w udziele. Ze względu na wybitną charakterystykę postaci składających tę wielkiego rozmiaru kompozycyą, zasługuje ona na szczególniejszą uwagę.—Szwojnickiego *Kaptowanie przed sejmikiem* wyobraża scenę na pół pijacką, z Czasów Saskich, z beczką zajmującą

główne na pierwszym planie obrazu miejsce. Chociaż postacie zgromadzonej tu szlachty mają w sobie wiele typowej charakterystyki, rzecz to pomyślana nieszczęśliwie, przedmiot niesympatyczny, upokarzająca satyra, na widok której z przykrem uczuciem odstępujemy od obrazu, radzi przenieść się co rychlej do innych.

(Dokończenie nastąpi).

OPALONE SKRZYDŁA

Z CZESKICH SZKICÓW

Edwarda Jelinka.

(Dokończenie).

— Powiedz, kochany,—odezwałem się w końcu głosem szczerym—co się z tobą dzieje? Jesteś zagadką.

Toniczek podniósł głowę. Jego twarz nabrała dziwnego spokoju, cechującego wybitnie charaktery silne. Nie postrzegłem w nim teraz najmniejszych śladów jakiegokolwiek zaburzenia spowodowanego przez gniew lub żałość: przeciwnie, cała jego postać przemawiała uroku pełną godnością.

— No, powiedz, kochany... może...—powtarzałem moje pytanie, nie odebrawszy odpowiedzi.

Po krótkiej przerwie poklepał mnie Toniczek po ramieniu i rzekł: — Wasza życzliwość, wasze huczne oklaski zmusiły mnie do usunięcia się...

— Jakto? — zawołałem.

— Tak to! — westchnął zgłęboka Toniczek i gorzki uśmiech odmalował się na jego wargach.— Tak, odpędziliście mnie sami.

Poczem, zwróciwszy się do mnie i wpatrzywszy mi się badawczo w oczy, zaczął prostemi, spokojnemi i szczeremi wyrazami zdejmować zasłonę z zagadkowego swego postępowania. Im dłużej patrzyłem na jego rysy, tem więcej dostrzegałem w nich powabu.

W toku rozmowy nieraz chwytałem dłoń jego, aby ją serdecznie uścisnąć.

— No, skoro nalegasz, to już ci powiem choć kilka słów. — Wiesz dobrze, że nie byłem muzykiem, ani dla pieniędzy, ani dla sławy. Ani jednego, ani drugiego nie potrzebowałem, gdyż życie moje poszło innym... lepszym torem. Nie wątpię, żem dostał do kolebki nie jednę, lecz trzy skrzypki, bo tylko przeznaczenie lub przypadek pozwolił mi stać się dobrym *muzykantem*. Nie kształciłem się na to z żadnym zamiarem... uczyłem się i doskonaliłem samym trybem talentu (u nas zresztą nierzadkiego)—i korzystałem z tego dla prostej zabawy i dla zadośćuczynienia własnemu zamiłowaniu sztuki. W czasach, gdy u nas nastała epidemia urządzania rozmaitych wieczorków na rzecz spraw patryotycznych, dobrą mogłem się stać siłą, co też wkrótce się stało. Proszono mnie wszędzie, pakowano do wszelkich programmatów, i bez mej wiedzy nawet robiono mi reklamy zasłużone i niezasłużone—słowem: stałem się w skromnym naszym światku, nietylko osobą poszukiwaną, ale i taką, której się daje nieraz pierwszeństwo. Wiem dobrze, że byłem „milaczkiem" naszej publiczności. Witali i żegnali mnie zawsze hucznemi oklaskami bez końca, co, szczerze mówiąc, od samego początku mało mnie cieszyło, tem bardziej, że musiałem nieraz zauważyć, iż powodzenie moje niejednego z moich kollegów artystycznych spychało na drugi plan... Widząc czasami, jak po mnie jaki kollega wraca z estrady prowadzony ledwo dosłyszanemi oklaskami, lub nawet obojętnością, zawsze mi było tych ludzi żal, boć oni wszyscy pracowali dla artystycznego zawodu, dla chleba... a ja tylko tak—dla siebie!...

Tu Toniczek się zatrzymał i począł coś w sobie myślą rozbijać. Patrzył przed siebie, jakby chciał wzrokiem schwycić jakieś widmo występujące z dymu kłębiącego się już teraz po winiarni. Potem znowu zaczął:

— Nie było mi przeznaczonem długo cieszyć się z wawrzynów. — Raz, temu mniej więcej trzy lata, proszono mnie i całą drużynę młodszych artystów i artystek, ażeby uczestniczyć na wieczorku urządzonym w „Besedzie." Miało to być coś nadzwyczaj uroczystego. Dotrzymałem słowa i na oznaczoną godzinę stawiłem się wraz z innymi w sali przeznaczonej dla artystów. Pamiętam, jak dziś... przez otwór we drzwiach patrzyliśmy na publiczność, która zebrała się nadzwyczaj licznie.

Pierwszy numer wykonać miałem ja; była to prześliczna fantazya z narodowych pieśni czeskich. Ledwie dobrzmiał ostatni ton, już huczała burza oklasków. Sądzę, że powodzenie zawdzięczałem głównie tematowi. Jakkolwiekbądź, zapał publiczności był tak wielki, żem fantazyą moję musiał trzy razy powtarzać, poczem część słuchaczy postąpiła nietaktownie względem innych spółuczestników i wyniosła się gdzieś do bufetu. Drugi numer miała wykonać panna Rużenka...

Wymówiwszy to imię, Toniczek, westchnął i spuścił głowę na piersi, które unosiły się z trudem, jakby je ciężar jaki przygniatał.

Pannę Rużenkę dobrze znałem. Mogę powiedzieć, że było to najlepsze na świecie dziecko, lecz każdy z nas już wtedy był mocno przekonany, że pomimo bardzo ujmującej powierzchowności i sympatycznego obejścia p. Rużenka, nie stanie się nigdy primadonną opery. Talent jej był drugo-a może i trzecio-rzędnym, a choć ją panowie z komitetów wieczorkowych ciągle gorliwie zapraszali, czynili to raczej dla jej pięknej twarzyczki, niż dla talentu, wielce skromnego. Zresztą było to dziewczę biedne, szukające może w artystycznym zarobku kawałka gorzkiego chleba: i dlatego właśnie staraliśmy się ją protegować, oile możność pozwalała. Nieraz patrzano przez szpary. Szczególnie Toniczek był gorącym protektorem panny Rużenki i pomagał jej do powodzenia, jak tylko mógł. Taksamo zresztą postępował z innymi swoimi kollegami, starając się wszelkiemi sposobami nikomu nie wchodzić w drogę.

O tej-to Rużence Toniczek przelotnie wspomniał. Łatwo można zrozumieć, że mnie przez to podwójnie zaciekawił. Po krótkiem milczeniu podniósł znów głowę i, obejrzawszy się, zaczął mówić spokojnie, głosem jeszcze tkliwszym i rzewniejszym, niż poprzednio:

— Wystaw sobie... po mnie wstąpiła na estradę Rużenka. Jeszcze nim wyszła, mówiła mi, że ma okropną tremę... Na pytanie: dlaczego? odpowiedziała drżącym głosem, że wobec mego powodzenia śpiew jej zginie zupełnie. „Któż na taką, jak ja, biedaczkę po panu zwróci uwagę?" Poszła na estradę, jakby na rusztowanie. Tymczasem cieszyłem się nadzieją, że ładna twarzyczka biednej Rużenki nie pozostanie bez wpływu, i że kamienne serca krytyków w publiczności zmiękczy... Tymczasem stało się inaczej. Rużenka śpiewała może nieźle, lecz publiczność przyjęła ją tak zimno, tak obojętnie, tak... barbarzyńsko, że wystąpienie jej skończyłe się niepamiętnem *fiasco*.

Blada jak chusta, biedna dziewczyna powróciła do nas. Twarz zakryła wachlarzem i skłoniła głowę na piesi. Jej ciotka, w charakterze „gardedamy" towarzysząca siostrzenicy, robiła jej głośne wymówki, i gdym się do nich zbliżył, żeby łagodnemi słowami przykrość wypadku złagodzić, stara zjadliwie zawołała: „Pan-eś wszystkiemu winien, z panem razem występować nie można."

Zacietrzewione babsko zapowiedziało mi jeszcze, że Rużenka ostatni raz dzisiaj występuje na jednym koncercie ze mną.

— Ale mój drogi, to głupia... — wtrąciłem.

Toniczek kiwnął głową: — Mniejsza o to. Nie uwierzysz, jak mi wtedy było przykro pomiędzy „kollegami." I inni, którzy po pannie Rużence wystąpili, nie mieli już powodzenia... Cóżem ja był winien, że to były siły słabsze, bez talentu, bez iskry wyższości! Ale w gronie artystycznem inaczej chyba myślano. Zauważyłem, że prawie wszyscy kolledzy moi zaczęli patrzeć na mnie zpodełba... Nie była to maluczka zazdrość, zawiść... ale wiesz, co boli artystów. Rużenka ciągle siedziała ze swoją ciotką w kątku, nie mówiąc ani słowa. Biedna! Tak starannie i ślicznie ubrana, pełna kwiatów w jasnych włosach i na piersiach, podobna była do skoszonej lilii. Jej piękne niebieskie oczy, zwracały się chwilami na mnie. Dostrzegłem w nich łzy błyszczące, skargę i żałość. Te łzy rosły mi przed oczyma. Gdziem spojrzał, wszędzie widziałem tylko upokorzonych, skrzywdzonych, niechętnych. Nareszcie wszyscy ci nieszczęśliwi sami nie taili się przede mną. Jeden, figlarz, otwarcie i głośno raz jeszcze zamanifestował, że tam, gdzie ja będę grał, dla nich oklasków już zbraknie. Wysłuchałem tych słów z gorzkiem uczuciem. Niesprawiedliwy, niedorzeczny zarzut sączył mi truciznę do duszy... Wszak ty wiesz, jak ja zawsze starałem się nikomu nigdy nie zawadzać...

— Obejrzałem się raz jeszcze wokoło siebie. Wszędzie oblicza posępne, wzrok zawiścią przeszywający. Przejęło mnie wtedy uczucie niewymownej tęsknoty. Siła jakaś ujemna, wypędziła mnie z grona tych ludzi, ubiegających się tak zaciekle o powodzenie i szarpiących niewinną zupełnie istotę. Ja miałem dla nich wyrozumiałość. Jedni z nich walczyli rozpaczliwie dla honoru, inni dla... chleba. I oto w takiej walce miałżebym ja być niebezpiecznym rywalem!?

Tu twarz Toniczka zapłonęła szlachetnym ogniem.

— Nie, nigdy! — wybuchnął głosem męzkiej energii—Nigdy! Dusząca asmosfera w pobliżu estrady stała się dla mnie nieznośną. Niedoczekawszy końca koncertu, pożegnałem braci w sztuce nazawsze! Był to ostatni mój występ publiczny. Do miejsc tych nie powróciłem i nie powrócę już nigdy...!

To powiedziawszy, zamilknął Toniczek zupełnie: schylił głowę i zadumał się. Tylko w krótkich przerwach palce jego biegały po marmurowej desce stolika, jakgdyby do rytmu marsza.

Trudno było wyciągnąć go na nową rozmowę. Milcząc tak siedzieliśmy parę minut. Nareszcie, chcąc przerwać niemiłe milczenie, odezwałem się nagle:

— Podziwiam cię... czy wiesz jednak, że świat, nietonący już oddawna w ideałach, nazywa takie postępowanie... waryactwem?

— Wiem... wiem — odpowiedział krótko Toniczek — nie przeszkadzam jednak nikomu nazywać mnie waryatem, bo dla spokoju swego właśnie potrzebuję takiego waryactwa. Okazana mnie, a innym niby ujęta życzliwość uczyniłaby mnie najnieszczęśliwszym na świecie człowiekiem. Nie myśl jednak — dodał z dobrotliwym uśmiechem—że mi tak źle. Otóż, patrz, od tego czasu, gdyście mnie hucznemi oklaskami wypędzili, znajdowałem pewne dla siebie schronienie tutaj. Widzisz? tam, ten nędzny fortepian... no, patrz... to teraz moja estrada...

Pod ścianą rzeczywiście stało coś podobnego do fortepianu.

— No, no, nie dziw się... Tu mogę niekiedy wpaść i zagrać dla obcych, którzy mi zazdrościć nie będą. Nie zajrzy tu nikt taki, komubym mógł zaszkodzić. Tu niéma spółzawodników... niema też niebezpieczeństwa. Marnych oklasków nikomu tu nie zabiorę,—nieprawdaż? nikomu... Miło mi tu zwracać się do przeszłości. Nurzam się w jej wspomnieniach... Miły to kącik... i wino nie złe... Ale dziś, dziś — dodał smutnie i tkliwie, rozglądając się po pustej winiarni—dziś... dziś nikt nie przyszedł wysłuchać mojej ulubionej pieśni. Czekałem marnie do północy... a teraz już tak późno....

Te ostatnie słowa brzmiały z ust idealnego Toniczka tak melancholijnie, tak smutnie, jak z piersi chorobliwego człowieka. Tak, tak! Toniczek był istotnie chorym przez dobroć swego serca. A na co się dziś przyda taka chorobliwa dobroć? Jest ona zawsze niemocą ducha. Biedny Toniczek!

Uścisnąłem gorąco dłoń poczciwca. Spojrzałem ponownie głęboko w szlachetne rysy jego twarzy i — poprosiłem go uprzejmie, żeby mi coś zagrał.

Oczy zabłysły mu radością, dusza artystyczna ożyła. Zasiadł do starego sprzętu, nawiasem mówiąc, niegodnego takiego mistrza. Był rozpromieniony.

Zagrał. Fantazya czeskich pieśni narodowych zabrzmiała zpod jego palców niewymownie wdzięcznie, chwilami, jakby niebiańska melodya. Każdy jego ton przenikał do głębi duszy i miotał nią, wywołując zadowolenie i radość. Ach, te nasze czeskie pieśni! Śmieją się wesoło i płaczą, a zawsze, zawsze leją do serc pociechę!

Bóg wie, jak długobym wsłuchywał się w te narodowe melodye, gdybym nie był zmuszony przerwać Toniczkowi. W chwili, gdy zagrał motyw z pieśni „Andulko mé ditie, vy se mnie libite", po twarzy dziwaka łzy, jak groch, spadać zaczęły.

— Ale, ale... podbiegłem ku niemu — daj spokój, kochany. Na co te łzy?

Toniczek westchnął głęboko:

— Bo to ta pieśń, com ją wtedy grał... wiesz... wtedy, gdym grał w Besedzie ostatni raz!

Na tem skończyła się nocna nasza gawęda. Praga budziła się już do nowego życia, gdyśmy wychodzili z winiarni.

Od tego czasu spotykamy się znów częściej. I mnie czasami smutno! W takim będąc usposobieniu, wyszukuję mego przyjaciela wśród ciemnych nocy w odległej winiarni i spotykam go zwykle. Bywa rad. Zawsze chętnie siada do starego fortepianu i wiedząc, co sercu memu miłe i blizkie, gra mi bez wytchnienia ulubione moje śpiewy polskie.

Bóg ci za to zapłać!

Raz, będąc rozmarzony, spytałem go się: czy grałby u mnie w domu, w razie, gdybym sobie kiedy rozpalił rodzinne ognisko? To przecież lepiej, niż włóczyć się w słotnej niepogodzie po czarnych nocach...

— *Tylko, żeby to nikomu—nie przeszkadzało* — odpowiedział Toniczek melancholicznie.

— Ach, mój Toniczku, jaki ty dziwny człowiek!

Nie wzdychaj! Prawda, pozbawiony jestes marnych oklasków i owacyi, lecz masz przynajmniej.. święty spokój. Wierzaj mi — i to coś warte!

Koniec.

Warunki życia we wszechświecie.

(Dalszy ciąg).

X.

Cóż mamy powiedzieć o jej płodności!

Płodność jej widzialna nie jest niczem w porównaniu z płodnością niewidzialną. Powietrze przepełnione jest *życiem niewidzialnem*. Przechodząc podwórze Instytutu dla przewodniczenia na posiedzeniu w Biurze Długości Geograficznej, P. Faye oddycha atmosferą zawierającą przynajmniej trzy do czterech tysięcy mikrobów w jednym metrze sześciennym. Każdy z nich wypowiada mu we właściwym sobie języku, że życie rozradza się poza obrębem wszelkich kopców granicznych w naszych pojęciach. Powietrze Instytutu nie jest z pewnością zasobniejszem w jestestwa nieskończenie małe. W obserwatoryum Montsouris doktor Michel naliczył 7.420 bakteryi w jednym metrze sześciennym. To wszystko jest jeszcze niczem. Powietrze w starych domach paryzkich daje 36.000, powietrze w nowym Hotel-Dieu 40,000 — powietrze w szpitalu Pitié 79.000 bakteryi w jednym metrze sześciennym. I wszystko to maleństwo żyje, nie pożądając niczego więcej prócz rozradzania się.

Liczby te odnoszą się wyłącznie tylko do powietrza czystego, chciałem powiedzieć: „przezroczystego". Jeżeli bowiem przejdziemy około domu zruinowanego, powinniśmy powstrzymać nasze oddychanie. Tu zachodzi całkiem co innego. Legie jestestw martwych łączą się z armiami poprzedniemi jestestw żywych. Kamień ciosowy, kamień wapienny, kreda, zawierają w sobie organizmy kopalne w ilości w istocie przerażającej. Dziurkowce, okrzemki, galionelle, bacylarye nagromadzone są w miliardach miliardów w pokładach wapiennych i krzemionkowych i to w takim stopniu, że według Ehrenberga cal sześcienny tych warstw, może obejmować *czterdzieści milionów tych jestestw!*

Alcyd Orbigni znalazł 3,840.000 organizmów mikroskopowych w trzech grammach piasku z morza Wysp Antylskich! Paryż zbudowany jest na muszlach; piramidy są grobowcem nummulitów, i mumie faraonów wobec nich są podrzędnego znaczenia. Nie tak dawno jeszcze w historyi geologii ci, którzy nie chcieli słyszeć głosu natury, utrzymywali, że stosy nummulitów nagromadzonych przez czas u stóp sfinxów i piramid, pochodzą ze szczątków skamieniałych szkieł murarzy budowniczych. Wszelako już Strabon odrzucał to niedorzeczne objaśnienie, przypisując tym drobiazgom kopalnym rzeczywiste ich pochodzenie. I tak powietrze jest przepełnione zarodkami życiem, rozpłodem. Od milionów wieków życie gromadzi się nawet w samych głazach. Woda dała nam teżsame wskazówki od czasu wynalezienia mikroskopu. Przypomnieć tu należy, że w r. 1685, to jest ni mniej ni więcej, tylko dwieście lat temu, Leenwenhoeck, badając kroplę wody deszczowej, wykrył w niej pierwsze wymoczki i że w dwa lata potem, nalewając wodę na ziarnka pieprzu, bardziej jeszcze się zdziwił, gdy dostrzegł jestestwa żwierzęce, słynne *pieprzówki*, o które toczył spór Leibnitz z Bernouilli'm, głównie w kwestyi wielości światów. Był to rezultat pierwszej nalewki (infuzyi) dokonanej w celu nakowym. Od tego czasu ileż zaszło odkryć zdumiewających! Ileż nie rozpatrzono gatunków! Ileż nie mamy rodzajów systematycznie rozklassyfikowanych przez mikrografią! Jestestwa te zamieszkują wody słodkie, równie jak wody morskie, wodę czystą i wodę zepsutą, i rozmnażają się wszędzie w miliardach miliardów, z niepojętą płodnością.

Brehm uzmysłowił nam całą kollekcyą organizmów obserwowanych w kropli wody zwykłej studziennej, do picia używanej, odrysowanych z natury, z powiększeniem ich wielkości od 100 do 500 razy. Jakiż-to dziwotworny zbiór kształtów i organów! Wszystko to żyje, rozradza się drogą pączkowania i dzielenia. Kilka dni wystarcza do wytworzenia milionów tych jestestw. — Zpośród nich wiele żyje zaledwie kilka godzin. Gdyby one mogły rozumować, nie wychodząc poza obręb swoich obserwacyi, orzekłyby, że żadna istota z ich towarzystwa nie widziała nigdy zachodzącego słońca, i że ci, którzy ośmielają się twierdzić o istnieniu dnia i nocy, błądzą przez zbyt wygórowaną wyobraźnią. Ocean ożywiony jest temi żywemi atomami w najciemniejszych swych głębiach. Te-to istoty wytwarzają przepyszne zjawiska fosforesencyi. Wody naszych rzek i stawów są niemi zapełnione. Ganges przenosi w ciągu jednego roku massę wymoczków wyrównywającą sześć lub ośm razy wziętej objętości najwyższej piramidy egipskiej. „Życie!—życie wszędzie!—życie wieczyście!" oto okrzyk najdawniejszy, okrzyk nieustający natury. Są jednak ludzie, którzy go nie słyszą!

XI.

Wszelako natura nie znosi tej głuchoty i tego zaślepienia; nakazuje ona poszanowanie dla swej potęgi, a ponieważ człowiek poczynił zastrzeżenia filozoficzne i starał się kreślić historyą życia tylko w koronkowych mankietach Buffon'a, z tysiącznemi obwarowaniami krasomówczemi, natura obdarzyła go w zamian... soliterem.

„Ach! zdaje się ona mówić — wy chcecie krępować mnie granicami; niedość wam moich wskazówek dla udowodnienia wam mojej potęgi; utrzymujecie, że wszelakiej istocie potrzeba czystego powietrza pól i lasów, przejrzystych wód z wodotrysków, woni kwiatów, pożywienia wykwintnego, świeżego wyborowego; — chcecie wyrokować o stosunku tlenu, kwasu węglanego, azotu, bez których według was, życie jest niemożliwem. Dobrze! czekajcież, pokosztujecie solitera i przekonacie się czy ma on krzepkie życie".

(Dokończenie nastąpi).

Tanie zbiorowe wydanie

POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

Serya nowa.

W roku bieżącym wyjdzie 20 tomów.

Do obecnej chwili wyszło już tomów 8 (to jest 41—48 ogólnego zbioru) i zawierają następujące powieści:

Zadora,
Kawał literata, w 2-ch tomach,
Orbeka, w 2-ch tomach,
Zaklęta księżniczka,
Ada, w 4-chtomach.
Nad modrym Dunajem.
Niebieskie migdały, w 4-ch tomach.

Następne 6 tomów w roku bieżącym wyjść mające, ukazywać się będą w przerwach 3—4 tygodniowych.

PRENUMERATA WYNOSI:

Kwartalnie (za 5 tomów) . . . . rs. 1 k. 50
Półrocznie (za 10 tomów) . . . . rs. 3
Rocznie (za 20 tomów) . . . . . rs. 6

W Warszawie opłacać można miesięcznie po kop. 50.

Na prowincyi i w Cesarstwie z przesyłką pocztową:

Kwartalnie (za 5 tomów). . . . rs. 1 kop. 75
Półrocznie (za 10 tomów) . . . rs. 3 kop. 50
Rocznie (za 20 tomów). . . . . rs. 7.

Wydane w r. 1883 tomów 20 (1 — 20); i w r. 1884 dalsze tomów 20 (21—40) są jeszcze do nabycia po rs. 6 za każde 20 tomów; z przesyłką pocztą rs. 7.

Michał Glücksberg
Księgarz-Wydawca, Ulica Królewska Nr 5.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* **dołącza się** arkusz 2-gi i 3-ci powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester.

TREŚĆ. Pogawędka. — Zjazd pedagogiczny w Przemyślu (dalszy ciąg). — Przeklęta wiosna, nowella, (dalszy ciąg), przez Bronisława Grabowskiego.—Przegląd teatralny, przez S. Krzemińskiego.—Korrespondencya zagraniczna, Lwów, przez Wł. Zawadzkiego. — Opalone skrzydła, (dokończenie), szkic z Czeskiego, przez Edwarda Jelinka.— Warunki życia we wszechświecie, (dalszy ciąg), przez K. Flammariona.

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi i 3-ci powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester. — 28 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem—Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20 Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Августа 1885 года.

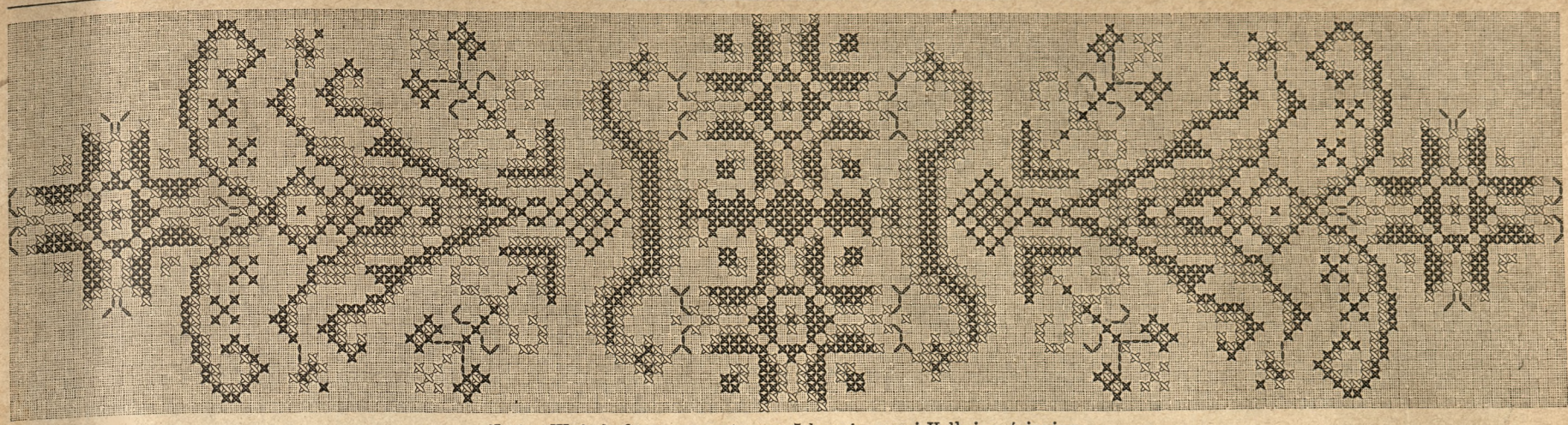

Nr 1. Wzór haftu na serwetę ryc. 5 krzyżowym i Holbeina ściegiem.

Serweta na stół do roboty gałązkowym, krzyżowym, Holbeina i rybiej łuszczki ściegiem.

Rycina Nr 1 — 5

Serweta 84 cent. długa, a 47 cent. szeroka na stół do roboty, zrobiona w części z lnianej krepy, w części z kanwowego materyału i tkaniny zwanej „Jacquard"; ozdobiona haftem z bronzowej, zdatnej do prania bawełny, w dwóch cieniach, oraz ażurowym szlakiem i oszyta frendlą. Na tkaninie „Jacquard" haftuje się ściegiem gałązkowym i w rybią łuszczkę, na kanwowym materyale ściegiem krzyżowym i Holbeina; na ryc. 2 przedstawiona połowa środkowego haftu serwety; rycina 1 podaje wzór haftu na dole serwety, a rycina 3 wzór haftu małych kwadracików; te ostatnie mogą być haftowane podług wzoru ryciny 4. Plecionka obejmująca haft przyszywa się ciemniejszą bawełną, ściegiem rybiej łuski.

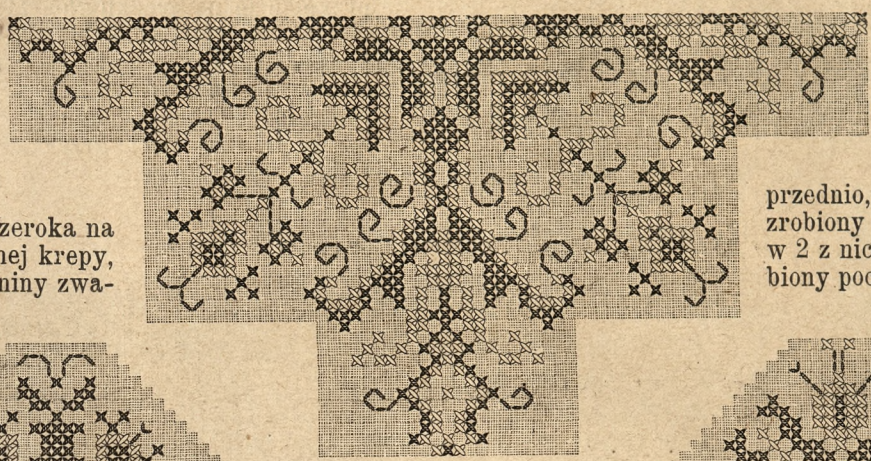

Nr 2. Wzór haftu do ryc. 5.

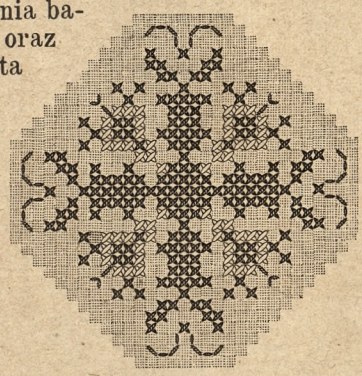

Nr 3. Wzór na haft ryc. 5.

Koronka do bielizny szydełkową robotą.

Rycina Nr 6.

Koronka ta robi się z krętej bawełny Nr 70, sposobem następującym: 2 razy naprzemian: 6 pow. ocz., 1 podw. słupek w 2 z nich, dalej 1 słu. poczwórny w pierwsze pow. ocz. tej kolei, * 5 ocz. pow., 1 podw. słup. w pierwsze z nich, 7 pow. ocz., zaczepić pierwsze z 6 pow. ocz. zrobionych poprzednio, 3 pow. o., 4 słup. przedzielone 1 pikotem (to jest 4 pow. ocz. i 1 ścisłe ocz. w pierwsze z nich) o 7 pow. ocz. zrobionych poprzednio, 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w poprzednio zrobiony podwójny słup., 6 pow. ocz., 1 podw. słu. w 2 z nich, 1 słupek poczwórny w poprzednio zrobiony poczwórny słup., od * powtarzać.

Nr 6. Koronka szydełkową robotą.

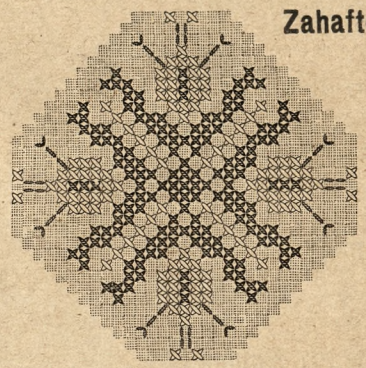

Nr 4. Wzór haftu krzyżowym i Holbeina ściegiem.

Zahaftowanie tła na kanwie.

Rycina Nr 7 i 8.

Haft ten wykonany na podzielnej kanwie, rzędami, grubym kordonkiem i służy do zahaftowania tła lub zapełnienia dużych figur deseniowych w szlaku, na serwecie lub poduszce. Zamiast kordonku, można do tego haftu użyć filozeli lub gobelinowej włóczki.

Na wykonanie haftu ryciny 7, trzeba zrobić naprzemian rzęd zwyczajnych krzyżyków na jednej parze kanwy na wysokość i szerokość i jeden rzęd długich krzyżyków na trzech parach szerokości i na jednej parze wysokości, a potem każden długi krzyżyk przymocować jednym pół-ściegiem na jednej parze.

Rycina 8 przedstawia zahaftowanie tła następującym sposobem: 1 długi krzyżyk na trzech parach kanwy na wysokość, a jedną na szerokość i 1 zwyczajny na jednej parze. Haftując drugi rzęd, trzeba zwrócić uwagę na to, aby długie

Nr 5. Serweta na stół do roboty krzyzowym, gałązkowym, Holbeina i rybiej łuszczki ściegiem. (Do ryc. 1—3).

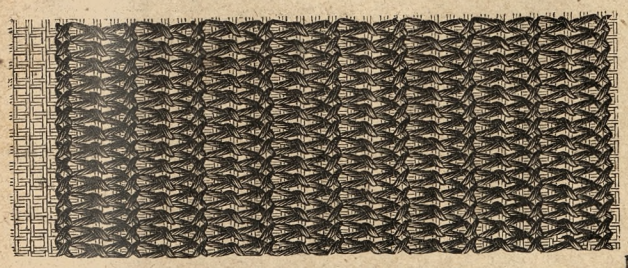

Nr 7. Zahaftowanie tła krzyżowym ściegiem.

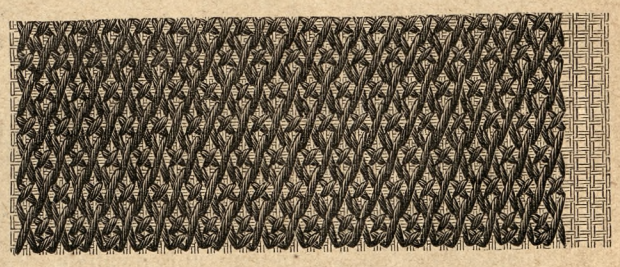

Nr 8. Zahaftowanie tła ściegiem krzyżowym.

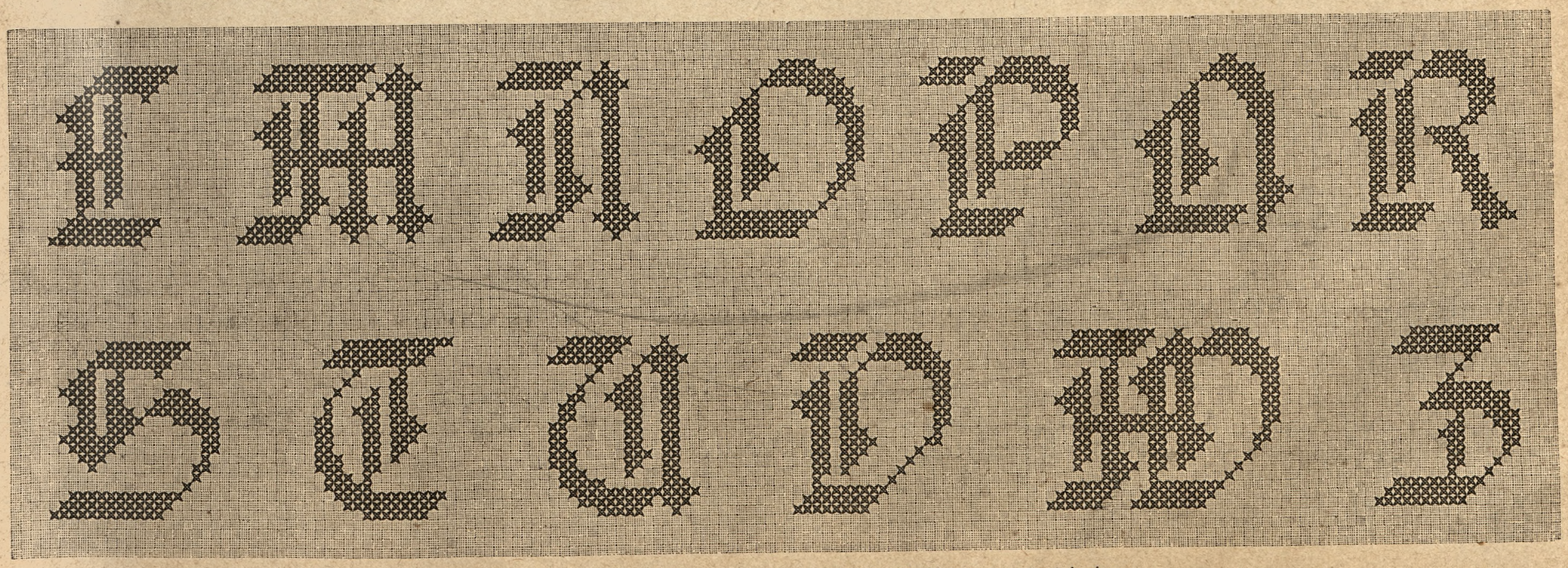

Nr 9. Dalszy ciąg alfabetu podanego pod ryc. 26 w Bl. Nr 33 krzyżowym ściegiem.

Nr 12. Uczesanie dla panny młodej.

krzyżyki znajdowały się pod zwyczajnemi krzyżykami poprzedniego rzędu.

Czepeczek z etaminy.

Rycina Nr 10.

Na ten czepeczek trzeba zrobić 27 c. długą i 5½ c. w środku, a 3 c. na końcach szeroką podstawę, połączyć końce jej 16½ cent. długim, a 2 cent. szerokim paskiem, objąć drutem i wązką wstążeczką. Dalej przedni brzeg podstawy oszyć 6 i pół centim. szeroką, uplisowaną koronką i upiąć na wierchu 28 cent. szeroki i 60 cent. długi kawałek kremowej etaminy, przybranej szlakiem haftowanym kremowym i pąsowym jedwabiem; przyszycie fałdów z tyłu fasonika przykryte kokardą z etaminy, a duża kokarda z pąsowej wstążki „ottoman", 2 cent. szerokiej, dopełnia przybrania czepeczka z przodu.

Czepeczek z crêpe-de-chine i koronk.

Rycina Nr 11.

Na zrobienie czepeczka trzeba wpierw przygotować z białego sztywnego muślinu podstawę, 54 cent. szeroką, a 26 cent. długą, zaokrąglić jej rogi, ułożyć brzeg w małe fałdki i przyszyć 5 cent. szeroki pasek z podwójnie złożonego muślinu i objąć drutem. Następnie oszyć przedni brzeg fasonika 4 centim. szerokiem, uplisowanem garnirowaniem, z blado-niebieskiego crêpe-de-chine, podwójnie złożonego i pokryć fasonik bufiasto upiętem takiemże crêpe-de-chine, pokrytem kremową koronką; koronka z tyłu wystaje na 6 centim., a materyał ściągnięty na tasiemkę i przyszyty z lekka do fasonika. Czepeczek na bokach przybrany ufałdowaną koronką, a z przodu rozetą z koronki i skośnej szarfy z crêpe-de-chine.

Uczesanie włosów panny młodej.

Rycina Nr 12.

Na to uczesanie trzeba rozdzielić włosy od ucha do ucha, na przednią i tylną część, a tę ostatnią jeszcze na dwie połowy, ukarbować przednie, krótko ucięte włosy, a tylne i boczne zczesać wysoko do góry i przypiąć mocno na wierzchu głowy. Przypiąć spadające z tyłu fałszywe loki, a przypięcie ich zakryć małym kokiem z lokami, dalej ufryzować przednią część włosów, ułożyć je i przypiąć girlandę z pomarańczowych kwiatów, podług wskazania na rycinie.

Uczesanie włosów.

Rycina Nr 13 i 14.

Uczesanie to z własnych, nie bardzo gęstych i długich włosów, trzeba rozdzielić włosy wprost czoła, potem oddzielić promień włosów na wierzchu głowy, związać go i przypiąć mocno; dalej tylne włosy, rozdzielić na dwie połowy, a każdą połowę na trzy części i z dwóch środkowych promieni zrobić po trzy małe pukielki, przypinając je do związanych włosów; następnie zczesać tylne włosy do góry, a przednie na tył, przypiąć je na środku głowy, układając w małe pukielki i pętle, boczne krótko ucięte włosy ufryzować, rozczesać i wpiąć podług ryciny 13 i 14 dwa grzebienie szyldkretowe.

Nr 13. Uczesanie włosów. Przód. (Do ryc. 14).

Nr 10. Czepeczek z etaminy

Nr 11. Czepeczek z crêpe-de-chine i koronki.

Nr 16. Suknia z satinety ze szlakiem Opis pierw. str. tabl.

Nr 17. Suknia z batystu w deseń i „satin-merveilleux". (Do ryc. 21). Opis pierw. str. tabl.

Nr 18. Caustac koronkowego tiulu i koronki Opis pierw. str. tabl.

Nr 19. Stoliczek ze szkatułką do biżuteryi. Opis pierw. str. tabl.

Uczesanie włosów.

Rycina Nr 15.

Do tego uczesania potrzebny jest kok z loków odpowiednich włosom. Własne włosy średniej długości, których część na środku głowy oddzielić, związać mocno i przypiąć, dalej rozebrać wprost nad czołem, ukarbować przednie włosy, tylne podczesać do góry i przypiąć do związanych, boczne zaś rozdzielić na trzy części, ułożyć w pukle, przypiąć kok, ufryzować grzywkę nad czołem, oraz krótkie tylne włosy i wpiąć parę dużych śpilek podług wskazania ryciny.

Nr 14. Uczesanie włosów. Tył. (Do ryc. 13).

Nr 15. Uczesanie włosów.

Nr 20. Suknia z satin-merveilleux Opis odwr. str. tabl.

Nr 21. Suknia z batystu w deseń i satin-merveilleux. (Do ryc. 17)

Nr 22. Tualeta. Opis pierw. str. tabl.

Szlak do serwet i t. p. haftem langietkowym.

Rycina Nr 23.

Szlak ten zrobiony na oliwkowym welwecie jedwabiem tegoż koloru, oraz złotym sznurkiem; po przeniesieniu na welwet deseniu, trzeba ułożyć wzdłuż konturów podwójnie cienki złoty sznurek, robiąc pikoty z zewnętrznego sznurka i przymocować je filozelą ściegiem langietkowym.

Koronka do bielizny szydełkową robotą.

Rycina Nr 26.

Koronka ta robi się z nici Nr 60, w poprzek na założeniu 16 oczek. Kolej 1: 3 oczka najbliższe opuścić, 2 słupki w 2 następne oczka, 6 pow. ocz., 6 ocz. opuścić, 3 słup. w następne 3 ocz. Kolej 2: 7 pow. ocz., 6 słup. w następne 6 ocz., 2 pow. ocz., 4 słup. w trzecie ocz. Kolej 3: 3 pow. ocz., 2 słup. w następne 2 pow. ocz., 6 pow. ocz., 3 słup. w pierwsze 3 z 7 następnych ocz., 5 razy naprzemian: 1 ocz. pow. i 1 słupek w 4 ostatnie z 7 pow. ocz. Kolej 4: Zaczepiając pierwsze ocz. założenia, 5 razy naprzemian: 4 pow. ocz. i 1 ściśle ocz. o następne pow. ocz., potem 5 pow. ocz., 6 słup. w następne 6 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 słupek w trzecie oczko. Kolej 5 robi się jak 1, a potem powtarza się ciągle 2 do 5 kolei, a zaczynając każdą 4 kolej, trzeba zaczepić 3 o. z 5 pow. o., znajdujących się przed 6 słupkiem 4 kolei poprz. des.

Portiera.

Rycina Nr 28.

Portiera zrobiona z dwóch szali z kremowego materyału „madras" (bawełniana, podobna do gazy tkanina) w kolorowe kwiaty i ze szlakiem, który u dołu ma 136, a na podłużnych brzegach 17 cent. szerokości. Deseniowe figury portiery, zahaftowane odpowiedniego do tkaniny koloru filozelą i złotemi nićmi. Pierwsza połowa portiery ułożona w fałdy, u góry druga gładko, z przyszytemi do niej drewnianemi kółkami do wsuwania na kij, zachodzi na pierwszą; kij zaś zakończony dwoma metalowemi łębkami i założony na aki, ozdobione dwoma również metalowemi ptasiemi główkami. Do podpięcia portiery służą dwie wązkie, ozdobione haftem i frendzlą wstążki ułożone w pukle, oraz metalowa agrafka na sznurze zakończonym kwastami.

Przepisy gospodarskie.

Kluski z kaszki manny na leguminę.

Ugotować kwaterkę kaszki manny w pół kwarcie mleka dobrego, dokładając łyżkę masła — gotować póki od rondla nie odstanie. Wyłożyć na miskę, a gdy wystygnie, dosypać łyżkę cukru, trochę skórki cytrynowej lub pomarańczowej, wbić 6 jaj, wbijając po jednemu i wymięszać doskonale na jednolitą massę. Rozgrzać frytury w rondlu dużo, to jest funt, maczać łyżkę w tej fryturze, a następnie brać nią kluski duże — jak francuzkie z owej roztartej massy rzucać na gorącą fryturę, gdy się zrumienią, wyjmować łyżką durszlakową, układać na półmisku, polać gęstym sokiem, lub lepiej galaretą malinową lub porzeczkową i podać za leguminę.

Wybornie smakuje, włożywszy w kaszkę zamiast skórki cytrynowej, kilka migdałów słodkich i gorzkich tłuczonych.

Kotlety poznańskie.

Oryginalne w swoim rodzaju, są kotlety zwane „poznańskie". Ukroić cienki kotlet cielęcy z żeberkiem, rozbić bardzo cienko, na to położyć z jednej strony cienki plasterek obgotowanego poprzednio móżdżku cielęcego, posolić, umoczyć całość, to jest kotlet razem z móżdżkiem w rozbitem jajku, położyć na lekko zwilgoconym opłatku, obwinąć cały kotlet w ten opłatek i smarzyć na rumianem maśle jak zwykle każde kotlety, póki opłatek dobrze rumiany nie będzie — przewracając na obie strony. Podaje się do nich cytryna i masło młode.

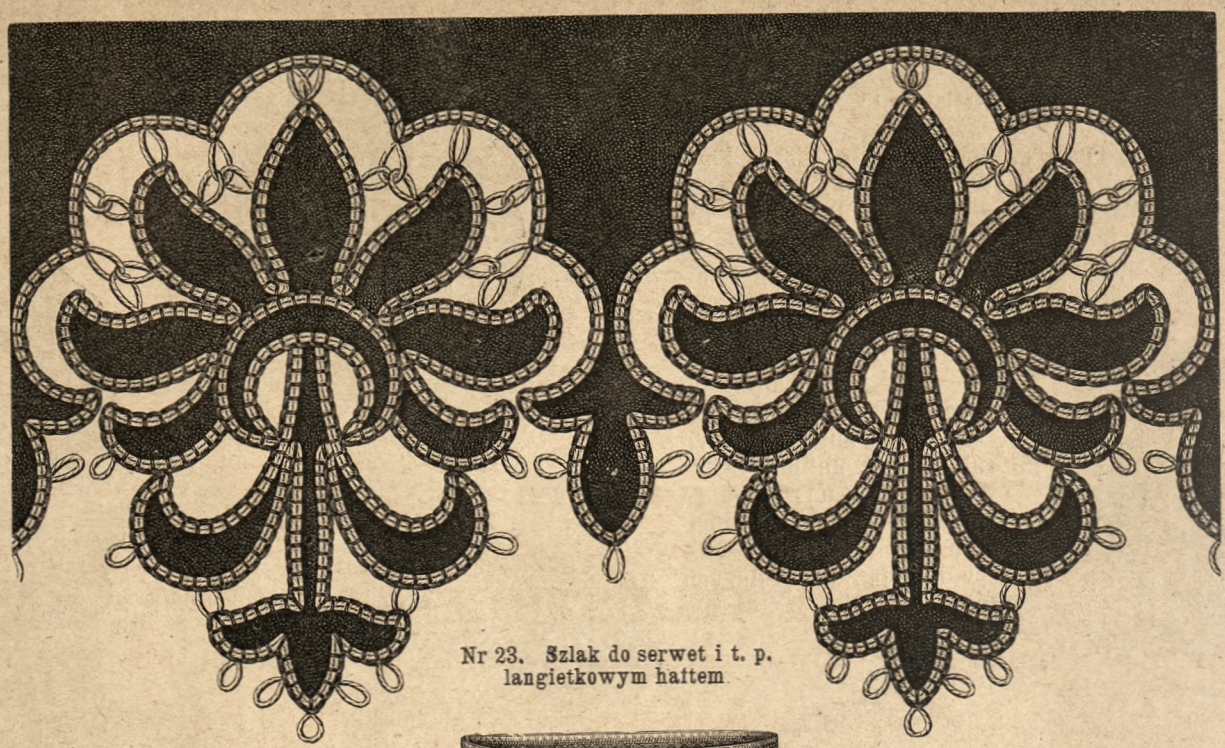

Nr 23. Szlak do serwet i t. p. langietkowym haftem.

Nr 24. Koronka do majtek minardisą i robotą szydełkową. (Do ryc. 25).

Nr 28. Portiera.

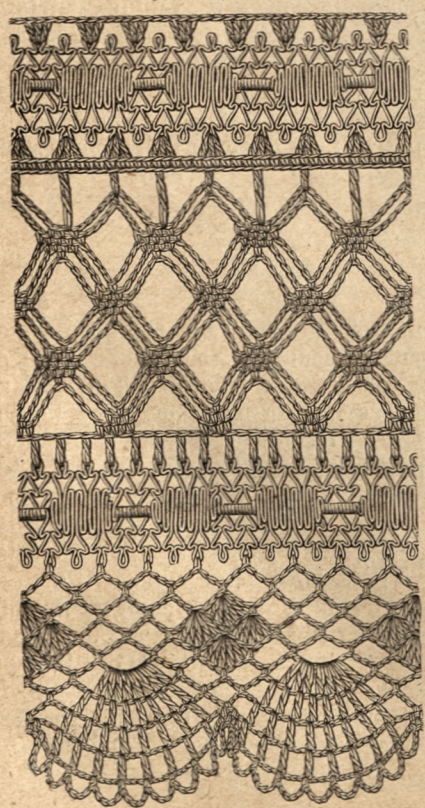

Nr 25. Część koronki r. 24. Wielkość naturalna

Najświeższe pomidory w konserwie na zimę.

Ułożyć w kompotiery pół-kwartowe, średnie lub małe, zupełnie dojrzałe pomidory, do pełna, obwiązać pęcherzem, ustawić słoiki w kociołek, lub głęboki rondel z zimną wodą, przekładając sianem i zagotować początkowo na wolnym, a następnie na większym ogniu „au bain marie" gotując od zagotowania minut dziesięć. Zestawić z ognia i wyjmować słoiki gdy woda przestygnie. Będą w zimie jak świeże i żaden inny sposób gotowania, w porównanie z tym iść nie może.

L. Ć

Obiad na Niedzielę.

1. Krupnik ze śmietaną z koprem.
2. Sztufada z kartoflami.
3. Kaczki młode z jabłkami.
4. Tort kruchy z wiśniami.

UWAGA

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze podane, dołączoną była do N-ru 34 Bluszczu.

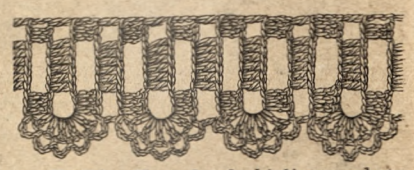

Nr 26. Koronka do bielizny robotą szydełkową.

Nr 27. Szlak robotą wiązaną.